

Jerzy Dostatni

Studencka spółka  
usług specjalnych

Ireneusz J. Kamiński

Sesje  
i obsesje

Maciej Podgórski

Zazdrość

Tadeusz Polanowski

Romantyczni  
następcy

Recenzje

felietyony  
Szyfrogram  
literacki

# Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 12 VIII 1973 Nr 16 (528)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



Przed odlotem. Od lewej: kpt. pil. Nowacki, NN, sierż. Grabowski, sierż. Z. Taczalski, sierż. Sep-Sarzyński. Zdjęcie zrobione w końcu 1941 r. przez kpt. obs. Bernarda Budnika, członka załogi.

Lublinciacy na wojennych szlakach

## Z Leszkowic do Brindisi

Wojciech Białasiewicz

W dniu 16 lipca 1940 roku w bombardowanym przez Luftwaffe Londynie odbyła się w gabinecie brytyjskiego premiera ścisła tajna konferencja, w wyniku której nad okupowaną przez hitlerowców Europę rozciągnęła swoje sieci „Special Operations Executive”, w skrócie zwane SOE (Kierownictwo Specjalnych Operacji), tajna organizacja przeznaczona do prowadzenia dywersji, sabotażu oraz wywiadu przy zachowaniu współpracy z ruchem oporu państw okupowanych. W konferencji uczestniczyli tylko trzy osoby: premier Winston Churchill, minister wojny Anthony Eden oraz minister wojny ekonomicznej Dalton. Na stwierdzenie Daltona, że SOE działać będzie wszędzie i wszystkimi dostępnymi środkami, premier brytyjski wykrzyknął: „Tak jest. Podpali pan Europę”.

JEDNYM z bardzo ważnych organów SOE był dział łączności lotniczej. 20 sierpnia 1940 r. na połowym lotnisku zbudowanym na torze wyścigowym Newmarket ulokowana została eskadra nr 1419 pod dowództwem Wing Commandera E. M. Fieldena, przeznaczona do zadań specjalnych. Rok później jej obowiązki przejął dywizjon nr 138, w którym 25 października 1941 roku zameldowały się trzy pierwsze polskie załogi.

W listopadzie 1941 r. dywizjon, przebrojony z ciężkich „Whitleyów” na czteromotorowe „Halifaxy”, przeniesiono na lotnisko Leonfield, a następnie Tempsford, na północny zachód od Londynu. Dzięki zabiegom sekcji polskiej SOE oraz osobistym interwencjom gen. Sikorskiego, w dniu 1 kwietnia 1943 r. ministerstwo lotnictwa ustaliło w ramach dywizjonu etat samodzielnej polskiej eskadry. W lipcu eskadra ta otrzymała nr 301, przejmując numerację polskiego dywizjonu ciężkich bombowców, który musiał być rozwiązany, aby wypełnić etaty polskiej eskadry specjalnego przeznaczenia. Dowódcą eskadry, liczącej 6 załóg plus 1 zapasowa, mianowany został kpt Stanisław Król. Operując z Tempsford, dywizjon współpracował z ruchem oporu w Polsce, Jugosławii, Norwegii, Grecji, Czechosłowacji i in.

Z chwilą oswojenia części Włoch przez alianców, w Brindisi została założona polska Główna Baza Przerzutowa. Eskadra nr 301 została wyznaczona ze składu 128 dywizjonu specjalnego, a ponieważ lotnisko w Brindisi nie było jeszcze gotowe, skierowano ją do Tunisu. Ministerstwo lotnictwa nadało eskadrze numer 1586, włączając ją do Skrzydła Specjalnego Przeznaczenia 234. Polacy używali nadal numeru 301. W grudniu 1943 r. wykonano do Polski tylko trzy loty, wszystkie z zaopatrzeniem.

Na początku stycznia 1944 roku eskadra polska była już rozlokowana w Brindisi. Przełom lat 1943-1944 w basenie Morza Śródziemnego oraz na Bałkanach charakteryzował się fatalną pogodą, która wykluczała loty do Polski. Gdy w pierwszych dniach stycznia warunki atmosferyczne nieco się poprawiły, dowódca polskiej eskadry, już mjr S. Król, wbrew przestrogom Brytyjczyków, uważających nadal lot za zbyt ryzykowny, zdecydował start czterech maszyn. W nocy z 5 na 6 stycznia 1944 r. wystartowały z Brindisi samoloty pilotowane przez chor. Kłosowskiego, kpt. J. z Dziedzica, kpt. Witolda Bohuszewicza i chor. Zygmunta

Dokończenie na str. 3

## Rzecz w uczuciu a nie w gębie...

Mirosław Derecki

WYDANA ostatnio, interesująca książka Małgorzaty Szejnert o życiu współczesnej Polonii amerykańskiej — „Borowiki przy terapii”, kończy się rozdziałem zatytułowanym: „Mówią Michał Królewski i rówieśnicy”. Młody Amerykanin polskiego pochodzenia z Detroit wyjechał jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej na letni kurs kultury polskiej, zorganizowany w Krakowie przez Uniwersytet Jagielloński. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych, odpowiadając na ankietę Fundacji, czy uważa ten kurs za pożyteczny, czy utrwalił on w nim i w jego kolegach poczucie polskości i czy pobyt w Krakowie miał wpływ na jego przyszłość, napisał między innymi: *„Najbardziej podobało mi się zwrócenie uwagi na historię polską i kulturę polską w języku angielskim i spaceru po Krakowie, podczas których spotykałem się i rozmawiałem z Polakami. (...) Nie zamierzam już zdobywać magistra z literatury angielskiej. Będę pisał pracę magisterską, w której porównam literaturę polską i angielską w okresie romantyzmu.”*

To było kilka lat temu. Michał Królewski uczęszczał wówczas do Oakland University. Wtopiony w trzytyścienne społeczeństwo akademickie, w którym można było dołączyć się zaledwie trzech Amerykanów polskiego pochodzenia, studiował socjologię oraz literaturę angielską. Czuł się Amerykaninem w każdym calu, jego dziadkowie przyjechali jeszcze na początku XX wieku do Detroit z ubogiej wsi rzeszowskiej i osiedlili się w polskiej dzielnicy Hamtramck. Bardzo stare dzieje. Jedyną pozostałością polskości rodzi-

JUŻ kilkakrotnie zabierano się do porządkowania polskiego ogrodnictwa, lecz większość uzdrawiających programów kończyła swój żywot na urzędowym papierze. Podczas tej krzątaniny udało się jedynie doprowadzić do ekonomicznej likwidacji wiśni — niemal w ca-

Polska posiada wszelkie warunki naturalne, a także wystarczająco silne zaplecze naukowe, aby stać się jednym z czołowych producentów owoców w Europie, lecz jak dotąd nie udało się tych sprzyjających okoliczności odpowiednio zdyskontować. Po prostu dlatego, że szereg innych momentów, związanych z sadownictwem, nie grzeszy nowoczesnością. Przykładowo: sady intensywne, o

lek w duże kompleksy sadownicze, wspólnie pielęgnowane i eksploatowane przez rolników indywidualnych, właścicieli poszczególnych „wkładów”; im większy obszar, tym tańsza produkcja. Rozwojowi sadownictwa służyć też będzie zobligowanie spółdzielni ogrodniczych do zakupu całego zbioru owoców z zakontraktowanego obszaru, co zlikwiduje karygodne marnotrawstwo surowca

Dokończenie na str. 8



lym kraju. Apetyt na owoce jednak wzrastał, zagraniczni kontrahenci gotowi byli przyjąć każdą ilość przetworów (w odpowiednim opakowaniu) i surowca, również rynek krajowy domagał się większych dostaw. Naciśki te zrobiły swoje, powierzchnia upraw sadowniczych wzrastała z roku na rok, osiagając aktualnie 300 tysięcy hektarów. A przecież podaż owoców jak nie mogła tak i nie może nadążyć za popytem: rozwijając się w tempie arytmetycznym, pozostaje w tyle za „mocami konsumpcyjnymi”, które wzrastają zgodnie z postępowaniem geometrycznym.

## Bielenie sadów

Tadeusz Graba

rozległej powierzchni, obejmują zaledwie 60 tysięcy ha, dając jednak aż 80 proc. całej produkcji towarowej. Zbyt dużo jeszcze mamy sadów małych, przyzagrodowych, o niskiej wydajności.

Wiosną bieżącego roku weszła w życie uchwała Rady Ministrów, obliczająca zasadniczą zmianę tej sytuacji. Traktuje ona problem rozwoju ogrodnictwa w sposób kompleksowy i dalekosiężny, zakładając np. zwiększenie do roku 1980 produkcji owoców o 60 proc. Osiągnięcie tego celu wiąże się z upowszechnieniem koncepcji tzw. sadów zblokowanych, polegającej na łączeniu małych dzia-

podczas „kieszk urodzaju”. Uchwała akcentuje również konieczność budowy nowoczesnej bazy przetwórczej i zwiększenie zaopatrzenia wsi w maszyny i urządzenia specjalistyczne.

Wspomniany dokument uznaje Lubelszczyznę za rejon intensywnego sadownictwa, spojrzmy zatem bliżej na nasze „zagłębie owocowe”, za jakie uchodzi powiat opolski.

Na 3 tysiącach hektarów uprawia się tu przede wszystkim jabłoni i sliwy, a obszar ten powiększy się zapewne w najbliższych latach; tylko w ubiegłym roku

Dokończenie na str. 10





# Świat, w którym żyjemy

## PRZESZCZEPIANIE PAMIĘCI

Wszystko, co się dzieje w organizmie człowieka, można wytłumaczyć zjawiskami materialnymi. Jedną z nich jest pamięć, która przechowuje informacje o przeszłości. W tym celu wykorzystuje procesy fizykochemiczne.

Naukowiec amerykański dr George Ungar z uniwersytetu w Houston, podobnie jak wielu jego koleżanów, jest przekonany, że pamięć można utożsamiać z konkretnymi molekułami, chociaż trudno mu jeszcze powiedzieć, czy chodzi tu o cząsteczki substancji prostej (pierwiastka) czy też złożonej (związku chemicznego). Na ten temat naprowadziło go podobno badanie obyczajów kanibalów afrykańskich, którzy — jego zdaniem — zjadają swoich wrogów nie dlatego, że smakuje im ich ciało, ale dlatego, aby sobie przyswoić ich zalety ciała i ducha.

I po serii doświadczeń na robakach, czerwonych rybkach oraz różnych gatunkach szczerów dr Ungar twierdzi, iż odkrył tajemnicę pamięci. A właściwie molekuł, który zachowuje to, co nazywamy pamięcią. Mianowicie obiekty swoich doświadczeń uczył pewnych ruchów czy też określonych reakcji na pewne zjawiska. Następnie zabijał te robaki lub szczerzy, wydobywał z ich mózgow owo molekuły i potem wstrzykiwał je do mózgow kolejnych robaków i szczerów. Jeżeli reagowały one tak, jak wyuczono poprzedników, znaczyło to, że pamięć pierwszych przy pomocy owych molekuł została przeniesiona na drugie.

Tymczasem zachodnioeuropejscy specjaliści biologii stosowanej, zgrupowani w Komitecie naukowym European Training Program, twierdzą, że pamięć jest zjawiskiem, które powstaje podczas snu. Mianowicie człowiek i niektóre gatunki zwierząt przeżywiają dwa rodzaje snów: zwykły — który jest odpoczynkiem dla organizmu, oraz pozorny — wtedy gdy śnimy, co dla umysłu oznacza intensywną pracę, mimo że ciało znajduje się w spoczynku. I właśnie w czasie snów utrwala się w mózgu to, co człowiek poznał poprzednio. Stąd zresztą wzięły się metody uczenia podczas snu, które wprawdzie nie dały jeszcze zadowalającego wyniku, ale tylko dlatego, że wciąż nie potrafimy znaleźć odpowiedniego klucza.

Długość snu pozornego zdaje się potwierdzać ową tezę. U dziecka stanowi on do 40 proc. całego snu podczas nocy, u dorosłego wynosi już tylko 20 proc., a u ludzi starych spada do 10 proc., co jest niemal analogiczne z żywotnością umysłu i pamięcią w tych latach.

## TWARZĄ DO SŁOŃCA

W każdej sekundzie Słońce kieruje na powierzchnię Ziemi energię wartości 180 tysięcy miliardów kilowatów. Amerykanie obliczyli, że gdyby potrafili zużytkować chociażby pół procenta energii, która pada na ich terytorium, wystarczyłoby im to do pokrycia wszystkich potrzeb przewidzianych na rok dwutyściecny.

O wykorzystaniu energii słonecznej wielu ludzi myśli już od dawna, ale w praktyce nie zrobiono prawie nic. Po prostu dlatego, że — jak mówili specjaliści od tych spraw na kongresie, zwołanym niedawno przez UNESCO — energia słoneczna jest bezpłatna. A nikt nie szanuje tego, co ma za darmo. Okazuje się jednak, iż kuczące się zasoby surowców energetycznych na ziemi składają różne państwa, zarówno bogate jak i biedne, do podejmowania coraz to nowych wysiłków, zmierzających do ujarznienia i wykorzystania energii słonecznej.

Oto fakty, podane na owym kongresie UNESCO. W Stanach Zjednoczonych National Science Foundation przeznaczyła na te badania i doświadczenia 12 milionów dolarów, a wspólnie z NASA domaga się od rządów dotacji 2 miliardów dolarów w ciągu najbliższych 15 lat. Firma Boeing zamierza cały swój wielki kombinat fabryczny w Seattle zaopatrzyć w prąd, przetworzony z energii słonecznej. Jeden z naukowców, prof. Peter Glaser, projektuje umieszczenie na orbicie okołoziemskiej centrali elektrycznej, która czerpiąc energię ze Słońca osiągnie moc 5 tys. megawatów i przekaże ją na Ziemię przez mikrofalę radioelektryczną.

Ale są już także konkretne osiągnięcia i to właśnie w krajach biednych, nie posiadających surowców energetycznych. W Nigerze kilka szpitali i szkół korzysta już z wody, ogrzewanej przez promienie słoneczne skupiane w dużych soczewkach. Na Haiti cała szkoła szkolna na 240 uczniów jest ogrzewana kuchnią słoneczną. Na greckiej wyspie Nysiros 32 destylatory wody morskiej poruszane są promieniami słonecznymi. W Senegalu, Nigerze, Górnej Wolcie i Mauretanii działają cztery wielkie pompy słoneczne, wydobywające z dużych głębokości wodę. W Algierii spółdzielnia rolnicza buduje cały system irygacyjny na 30 hektarach, poruszany energią słoneczną.

## DEMOKRACJA SEKSUALNA

Jak pisze korespondent brukselski francuskiego dziennika „Le Monde”, w stolicy Belgii powstało i rozwija ożywioną działalność „Biuro kontaktów belgijsko-holenderskich”. Ludzie, którzy spędzą chociażby jedną noc w którymś z hoteli w Brukseli, otrzymują potem na adres domowy, chociażby mieszkali w Afryce lub Japonii, reklamową ulotkę tego „biura”, które zresztą podaje dokładnie swój adres, numery telefonów, godziny urzędowania, numer konta bankowego i numer telexu. W ulotce można przeczytać m. in.:

„Po raz pierwszy w Belgii, podobnie jak w większości krajów seksualnie demokratycznych, mamy przyjemność zaoferować Panu usługi naszego biura. Umożliwimy ono Panu na zwykłe żądanie telefoniczne spotkanie się z młodą kobietą która spełni wszystkie pańskie życzenia. Kobiety, które proponujemy, są urzędniczkami, gospodyniami domowymi, studentkami, które chwilowo znajdują się w trudnościach finansowych. Mają od 21 do 28 lat, znają po ośmiu języków obcych, są urocze, mieszkają w Brukseli lub okolicy, a większość z nich posiada własne mieszkanie. Zobowiązujemy się również skontaktować damy z młodymi mężczyznami, jak również złatwić wszelkie kontakty specjalne.”

Do tej zupełnie niedwuznacznej oferty dołączony jest cennik, określony jako „rozsądny”. Jedna godzina, spędzona w towarzystwie takiej pani, kosztuje od 1500 do 1750 franków belgijskich (około 15 dolarów), cały wieczór 5000 franków, natomiast rekompensata za całą noc lub weekend jest „do uzgodnienia stron”.

## BRUTALNOŚĆ RODZICÓW

Już przed dwoma laty podczas zjazdu pediatrów, psychiatrów, socjologów i kryminologów w Argentynie powstało międzynarodowe towarzystwo pod nazwą „Filius”, którego prezesem został dr Arnoldo Rascovsky z Buenos Aires. Bezpośrednim powodem powołania tego towarzystwa było stwierdzenie faktu, że w 1966 roku w USA jedna zbrodnia na dwadzieścia dwie została popełniona przez ojca lub matkę na własnym dziecku.

Ostatnio pod patronatem UNESCO odbył się pierwszy kongres „Filius”. Podane tam liczby, fakty i opinie są przerażające.

Okazuje się, że od czasu, gdy medycyna opanowała choroby infekcyjne, brutalność rodziców w wielu krajach jest główną przyczyną śmiertelności wśród dzieci. Sytuacja w USA prawie się nie zmieniła. W NRF umiera co roku 9 tys. dzieci w wyniku brutalności rodziców. Podobnie jest we Francji.

Jeden z lekarzy, dyrektor dużego szpitala dziecięcego, przedstawił wyniki badań 240 dzieci. Wszystkie miały poniżej 3 lat, a czwarta część poniżej 6 miesięcy. Stwierdzono u nich liczne siniaki, rany, blizny, oparzenia papierosem, żelazkiem od prasowania, a nawet gorącym pogrzebaczem. Niezależnie od tego prawie u wszystkich dzieci stwierdzono wylewy krwi pomiędzy mózgiem a czaszką, co z reguły przędzie czy później powoduje widoczne urazy neurologiczne, a często także śmierć w zupełnie niespodziewanej chwili. Były wypadki, że dzieci nie posiadały żadnych zewnętrznych śladów urazów i dopiero badania kliniczne wykazywały urazy ukryte lub ciężkie rozstroje psychiczne, których wyleczenie najczęściej nie jest możliwe.

## GDZIE SIĘ KAPAĆ?

Na to pytanie nie otrzymują odpowiedzi nie tylko mieszkańcy Lublina, gdzie Bystrzyca stała się tylko ściekiem, a basenu nie ma już ani jednego. Miesięcznik francuski „Lepiej żyć” opublikował dwa artykuły, z których wynika, że i we Francji jest źle, a właściwie coraz gorzej.

Pierwszy artykuł ujawnia poufne pismo, wysłane przez dyrektora urzędu „Higiena Publiczna” do lekarzy, zatrudnionych w rejonach nadmorskich. Dyrektor pisze, że badania, przeprowadzone przez Ministerstwo Zdrowia, wykazały, iż wzdłuż północnych i południowych wybrzeży Francji zaledwie 5,7 proc. wód przybrzeżnych jest bardzo dobrej jakości, 20 proc. dobrej, 41 proc. średniej, 13 proc. podejrzanej, natomiast 20,3 proc. stanowi niebezpieczeństwo dla kąpielących się ze względu na olbrzymie zanieczyszczenie.

Drugi artykuł przypomina, że przed dwoma laty Ministerstwo Młodzieży i Sportu uroczyście obiecało budowę tysiąca basenów. Miały one powstać w miastach, liczących 10–50 tys. mieszkańców, przy znacznej pomocy finansowej państwa. Cały plan miał być wykonany do roku 1976. Tymczasem jak dotychczas zaczęto budowę lub opracowano dokumentację zaledwie 80 basenów.

## Zmarli

73-letni Michał W. Isakowski, wybitny poeta radziecki. Debiutował w 1927 r. zbiorem wierszy pt. „Prowoła w solumie”. Autor licznych popularnych pieśni, m. in. „Kto jego znajet” oraz słynnej „Katuszy”.

## Literatura

Nagrody ministra Kultury i Sztuki otrzymali: Karol Bunsch, Stanisław Lem, Janusz Meissner i Seweryna Szmagłowska (I stopnia) Ernest Bryll, Stanisław Grochowiak, Jan Pierzchała i Janusz Wilhelmi (II stopnia) oraz Stefan Golebiowski, Jerzy Perleć, Jeremi Przybora i Jerzy Wawrzak (III stopnia).

## Film

Nagrody ministra Kultury i Sztuki otrzymali: Jan Rybkowski i zespołowo Ewa i Czesław Petelacy (I stopnia), zespołowo Krystyna Gryczkowska i Leszek Krzyżński (II stopnia) oraz Stanisław Lotb, Witold Sobociński i Jerzy Ziarnik (III stopnia).

## Różne

Nagrody ministra Kultury i Sztuki za upowszechnianie otrzymali: prof. dr Kazimierz Michałowski, prof. dr Wiktor Zin i zespołowo Zespół Tańca Ludowego im. S. Harnama w Łodzi (I stopnia), Wojciech Fijałkowski, zespółowo Centralny Zespół Artystyczny ZHP i chór akademicki Politechniki Szczecińskiej (II stopnia) oraz Janusz Cegiella, Alojzy Luczak i zespołowo zespół teatralny Domu Kultury w Bukowinie Tatrzańskiej (III stopnia).

## Teatr

Nagrody ministra Kultury i Sztuki otrzymali: Mariusz Dmochowski, Władysław Hańcza, Gustaw Holoubek, Andrzej Lapikeć, Ludwik René Jan Swiderski i zespołowo Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej w Krakowie (I stopnia) Jadwiga Andrzejewska, Stanisław Hebanowski i zespołowo Tadeusz Aleksander Tadeusz, Tadeusz Uragacz i Ludwik Perleć (II stopnia) oraz Józef Para i Maciej Prus (III stopnia).

## Sztuka

Nagrody ministra Kultury i Sztuki otrzymali: Alfons Karny, Jerzy Nowosielski, Julian Palka i Gustaw Zemla (I stopnia), Marian Kolodziej, Stefan Suberlak i Antoni Uniechowski (II stopnia) oraz Feliks Jaroszewiczowa, Benon Liberski i Józef Stasiński (III stopnia).

## Muzyka

Nagrody ministra Kultury i Sztuki otrzymali: Henryk Mikołaj Górecki, Andrzej Hiłolski, Bernard Ładysz, Bogdan Paprocki i Bohdan Wodiczko (I stopnia), Antonina Kawecka, Włodzisław Kotowski, Karolina Korzeniowska-Raduszkowa, Teresa Kubiak, Konstanty Kulka, Wiesław Ochman i Ro-



Fot. arch.wem

## W

AZNA publikacja, która ukazała się niedawno w Kijowie, jest „Przewodnik po ortografii ukraińskiej”, którego autorami są językoznawcy A. Buraczok, L. Palamarecz, W. Rusaniwski i N. Toćka I.

ju ortografii ukraińskiej uczyniono na terenie Galicji poprzez wydanie zbiorku „Rusalka Dnistrowska” w roku 1837. Zerwano tu z pewnymi tradycjami, wprowadzono nowe sposoby oddawania pewnych głosek i połączeń dźwiękowych, charakterystycznych dla wymowy ukraińskiej.



Nawiązuje do tego znany na Ukrainie Naddnieprzańskimi pisarz Pańko Kulisz; jego propozycja ortograficzna z roku 1858 znana jest pod nazwą „kuliszowska”. Ostatecznie wprowadzili tę ortografię do masowego użytku w roku 1873 naukowcy i pisarze kijowscy. Pojawiała się wtedy nowa litera „J z dwoma kropkami”.

stosuje jeszcze inną ortografię, swana później „zelechwińska”.

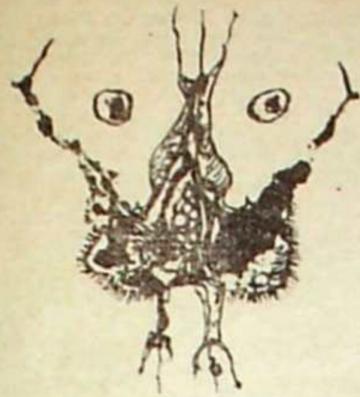
Językoznawcy S. Smal-Stoicki i F. Gartner w swojej gramatyce z 1833 roku ostatecznie jak gdyby utwierdzają w Galicji ortografię opartą na zasadach fonetycznych. Po rewolucji 1905 roku, kiedy w carskiej Rosji zniesiony został oficjalny zakaz używania pisma ukraińskiego, nowa propozycja zasad ortograficznych przedstawił praktycznie w swym „Słowniku języka ukraińskiego” (1907–1909) Boris Hrinchenko. Ta właśnie ortografia, z czasem zmieniona tylko w szczegółach, przetrwała w zasadzie do dnia dzisiejszego.

## Z nowych wierszy

### Widok z okna

Cztery topole mieszczą się w ramie mego okna,  
cztery topole z długiego rzędu tych starych drzew.  
Pamiętam je niziutkie. Byłem wtedy bardzo młody.  
Dziś jestem bliżej ziemi, one bliżej nieba.

Cztery topole swą zielenią łączą z błękitem,  
rozświetlone wróblami kołyszą wysokie piękno.  
Patrzę na nie tak często. Są moją wiarą w życie,  
choć przy nich jestem tak bardzo śmiertelny.



### Noszę na rękach...

Noszę na rękach moje miasto  
zbudowane z klocków wspomnienia.  
Jakie krucho jest ono, jak delikatne,  
jakie drży w halasie i wrzawie  
swego dzisiejszego kształtu.

Noszę na rękach moje miasto,  
cichy, niezgrabny wiersz,  
urywek starej melodii,  
kawalek oderwanego tynku.

Wiatr ociemniał skrzydłem  
uderza w zapomniane szyby —  
ktoś zapomniał zamknąć okno —  
ile lat temu — wiek może.

Przesuwa się chmura pamięci,  
upada gruda ziemi  
jedna za drugą  
miarowo,  
powoli  
na trumnę jeszcze gorącą.

Noszę na rękach moje miasto,  
czuły domek z przegranych kart  
zamek na stopniałym lodzie.



### Wspomnienie z tamtych lat

Tu padli — rozstrzelani. Gdy zabrano ciała  
zabarwili się kwiaty na skrwawionym bruku.  
Nie wolno było płakać nawet wonią kwiatów,  
a więc buty żandarmskie deptoły w wiciętkością  
sok lodu z krwią zmieszany w rynsztok wykopujący.

Ale cienie się ciągle staniały od kul  
i ból pamięci wpisał się w nieczule ściany —  
usta zagipsowane nie mogły zawałać  
„Niech żyje Polska...” Lecz się ten okrzyk słyszało —  
i jak kwiaty zdeptane pachniały dokola  
tak okrzyk zmartwychwstał wraz z nimi co rano.

### Nowa Huta

Ty jesteś dzieckiem moich oczu,  
dzienico w dorzeczu stali,  
bo znalazłem jeszcze stare chaty,  
łęki zielone,  
drzewa,  
kwiaty  
i lany zbóż,  
co były twymi rodzicami.

Jak bukiet tkwiący w starym wazonie  
pióropusz twoich różnobarwnych dymów  
kwitnący nad mogiłą Wandy  
zmienia horyzont  
i wciąż  
kamienne usta twych wysokościowców,  
płomienie gąb twych piekielnych pieców  
dalej zjadają  
dawne wioski,  
by dać przyszłości  
inny chleb —  
stalowy.

# Z Leszkowic do Brindisi

Dokończenie ze str. 1

Duńskiego. „Halifax” kpt. J. Dziedzica miał na pokładzie ekipę skoczków, wśród których znajdował się plk dypl. Felicjan Majorkiewicz, ps. „Iron”.

W swoich wspomnieniach plk. F. Majorkiewicz utrwał dramatyczny lot eskadry 301. Z powodu zalegających huraganów samoloty zmuszone były zawrócić z drogi. Niestety, tylko dwa dotarły do lotniska w Brindisi. „Liberator” kpt. W. Bohuszewicza z powodu wyczerpania się paliwa runął do Adriatyku już w porcie Brindisi. Maszyna chor. Z. Duńskiego rozbiła się o wzgórze w rejonie San Vito, na południu Włoch. Załogi obu maszyn poniosły śmierć. Pogrzeb poległych lotników odbył się na cmentarzu w Brindisi.

Szliśmy za długim rzędem jednakowych trumien — wspomina F. Majorkiewicz, — w których spoczywały zwłoki kolegów wydobytých z Adriatyku oraz szczątki zmiędzionych i pomieszanych z kamieniami ciał. Kompletna cisza panowała w tym tragicznym kondukcje niesionych na ramionach przyjaciół trumien. Cisza, której nie zmógł żaden odgłos ani szmer... A potem 15 trumien ustawiono w jednym szeregu nad wykopanymi dołami. Wysłuchaliśmy jednego, krótkiego przemówienia, po czym każdy z nas kolejno przechodził uzduż dołowi i rzucał garść ziemi na opuszczone trumny. Nasi koleży pozostali na zawsze nad Adriatykiem, jako jeszcze jeden słup milowy, znaczący szlak bojowy żołnierza polskiego w czasie II wojny światowej.

Przed świętami Bożego Narodzenia 1939 roku do p. Zofii Taczalskiej, zamieszkałej w Leszkowicach pow. Lubartów, dotarła kartka pocztowa datowana w Rumunii 13 XII 1939 r. Były to pozdrowienia świąteczne od jej syna Zdzisława, który, jak setki oraz tysiące jego podobnych chłopców, wkroczył na tularczy, żołnierski szlak, zakończony bezpowrotnie na ziemi włoskiej:

*I znalazł się jedną z wielu kartek wysłanych do Ciebie, Mamo, które prawdopodobnie gdzieś, nieistoty, gina. Jednak ja dojdzie, musi dojść. Do czego może zginąć kartka, na której ham do najdroższych płynię tyżenie świąteczne, płyną podróżowienia dla najdroższej Mateczki i rodzicielstwa? Nie, tej, gdy tutaj nie dostarczą, wiatr ją uniesie w przestworza i tam daleko, daleko rzuci na próg mego domu.*

Zdzisław Taczalski urodził się 2 grudnia 1918 r. w Leszkowicach w rodzinie Piotra i Zofii z Kozakiewiczów. Ojciec Zdzisława pracował w Kocku jako urzędnik magistracki. Zmarł w 1928 roku pozostawiając żonę wraz z czwórką dzieci (dwóch chłopców i dwie dziewczynki). Nie miał więc Zdzisław latwego dzieciństwa. Matka borykała się z losem wychowując czwórkę, w której Zdzisław był najstarszy. Później, kiedy podrosł, zawsze powtarzał, że na starość matka w nim będzie miała podporę, że będzie kształcił swoje młodsze siostry, którym zastąpić chciał nieżyjącego ojca. Cóż z tego, że posiadali w Leszkowicach gospodarstwo, kiedy nie było rąk do pracy?

Po ukończeniu pięciu klas szkoły podstawowej w Leszkowicach Zdzisław został ulokowany w rodzinie w Lublinie, gdzie następnie uczęszczał do gimnazjum im. Jana Zamojskiego. Sytuacja materialna rodziny Taczalskich nadal była trudna, nauka wówczas drogo kosztowała, a Zdzisław zaczął sobie zdawać sprawę z tych kłopotów i pragnął szybko uzyskać samodzielność. Przerzywa więc naukę w gimnazjum, składając jednocześnie podanie do Szkoły Podoficerskiej dla Małolatków w Konińcu. Ukończył ją z wynikiem dobrym w 1937 r. Otrzymał przydział do 43 pp stacjonującego w Dubnie, a wkrótce awans do stopnia kaprala zawodowego. Z zamiłowaniem uprawia sport, świetnie pływa, dobrze jeździł na nartach i coraz częściej zaczyna marzyć o lotnictwie, z trudem znosząc służbę w liniowym pułku piechoty. Pisał w tym czasie do domu, że sama służba nie jest ciężka, ale nie do zniesienia stosunek zwierzchników do podwładnych. W kwietniu 1939 r. złożył podanie o przeniesienie do lotnictwa. Zostało ono uwzględnione, ale z powodu wady serca nie mógł być pilotem i został skierowany na kurs strzelców pokładowych przy dywizjonie bombowym na Okęciu. Tam zastaje go wybuch wojny.

Kolejne etapy wędrówki Z. Taczalskiego wiodły przez Rumunię do Francji, a w marcu 1940 r. znajduje się na liście polskiego lotnictwa formowanego w W. Brytanii. Przechodzi kilkunastomiesięczne szkolenie m. in. w Yatesbury i West Freugh, uzyskując specjalność strzelca samolotowego i radiotelegrafisty.

2 listopada 1941 r. przydzielony został do 301 polskiego dywizjonu bombowego, który na samolotach „Wellington” prowadził intensywne bombardowania w okolicach Antwerpii, Bremy, Hamburga, Essen, Berlina, Lubeki. Kpt. obs. Bernard Budnik w liście do matki Zdzisława pisał już po wojnie:



Sierż. s. stg. Zdzisław Taczalski.

Po skończonych latach treningowych przeniesiono nas do Hemsweil koło Lincoln, duże lotnisko bojowe, skąd wykonywaliśmy testy loty bojowe. Ze mną rozpoczął loty bojowe na Niemcy, zrobił 21 wypraw. Był u mnie w zakładzie radiotelegrafisty i to bardzo dobrym. Często pomagał w wykryciu celu do bombardowania względnie własnego lotniska, lataliśmy przeważnie w nocy. Był bardzo miłym, przez wszystkich lubianym kolegą.

21 operacyjnych lotów bombowych — ileż to godzin spędzonych w niesłychanym napięciu nerwowym, w krzyżujących się smugach reflektorów przeciwlotniczych, wśród rozprysków artylerii przeciwlotniczej, w ciągłym zagrożeniu ze strony niemieckich myśliwców nocnych. W tych latach Zdzisław Taczalski wykazał wyjątkową odporność oraz odwagę. Świadczy o tym rejestr jego odznaczeń. Za udział w lotach operacyjnych (już) plutonowy Taczalski odznaczony został trzykrotnie Krzyżem Walecznych, dwukrotnie Medalem Lotniczym oraz otrzymał połowy znak strzelca samolotowego. Wreszcie zaśluził na Order Virtuti Militari, który nadany mu został przez gen. Sikorskiego 7 listopada 1942 r. Przebywał wówczas w Szwecji jako internowany, uroczysta dekoracja odbyła się dopiero jedenaście miesięcy później.

Ostatnią wyprawą bombową Z. Taczalskiego była właśnie 21, przeprowadzona na Rostock 24 kwietnia 1942 r. Nad Rostockiem otrzymali celne trafienia. Maszyna na jednym silniku zdołała dolegnąć do Szwecji. Przymusowe, nocne lądowanie zakończyło się rozbięciem samolotu, ale szczęśliwie wszyscy wyszli cało z tej przygody. Przez blisko rok załoga internowana była w Sztokholmie, w doskonałych zresztą warunkach.

5 kwietnia 1943 r. Zdzisław Taczalski niezbyt legalnie został przetrzycony do Anglii, gdzie w miesiąc później awansował do stopnia sierżanta. 31 sierpnia otrzymał przydział do 301 eskadry polskiej do zadań specjalnych przy 138 dywionie RAF. 22 grudnia 1943 r. załoga „Liberatora” w składzie: pierwszy pilot — chor. Bakanocz, drugi pilot — por. Bohuszewicz (awansowany później na kapitana), obserwator — kpt. Pulczyński, radiooperator — sierż. Z. Taczalski, strzelec — Błazyński, dyspateter — sierż. Szymański i mechanik pokładowy — sierż. J. Drong, wylądowała na lotnisku w Brindisi.

Noc sylwestrową spędzał więc Zdzisław na ziemi włoskiej, tak odległej od rodzinnych Leszkowic, którym zapewne towarzyszył sercem oraz myślami. Początek roku 1944 przyniósł Zdzisławowi jeszcze jedno odznaczenie: Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami. A później nastąpił tragiczny lot do Polski i komunikat: sierż. Z. Taczalski P-781610 poległ w dniu 6 I 1944 r. podczas wykonywania lotu operacyjnego w 1586 (P) Flight we Włoszech.

Niemal w tym samym czasie, kiedy „Liberator”, niosący na swym pokładzie m. in. sierż. Z. Taczalskiego, zniknął w nurtach Adriatyku w zatoce Brindisi, w rejonie odległych wzgórz San Vito rozgrywała się druga tragedia. Miotany wściekłymi porywami huraganu samolot, za którego sterami siedział chor. pilot Zygmunt Duński, nie uniknął swojego przeznaczenia roztrzaskując się o wzgórze. Tak więc prawie równocześnie ginęli na żołnierskim posterunku koleży, których łączyła nie tylko wspólna przynależność do eskadry nr 301. Łączyło ich jeszcze, pochodzenie z dwóch nie tak odległych od siebie miejscowości Lubelszczyzny.

Zygmunt Duński urodził się 27 marca 1921 r. w Wąwolnicy, pow. Puławy, w rodzinie robotniczej. Ojciec Zygmunta pracował jako mistrz murarski; miał na utrzymaniu rodzinę składającą się z 6 chłopców i 3 dziewczynek. Los nie oszczędził rodziny Duńskich: trzech braci poległo w czasie wojny.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Wąwolnicy Zygmunt rozpoczął naukę w mechanicznej szkole zawodowej w Kowlu. Od dzieciństwa wykazywał zamiłowanie do majsterkowania. Z wyposażenia wesoly, w latach późniejszych nabiera uporę w realizacji swoich zamierzeń. Podczas nauki w Kowlu zapalał chęcią wstąpienia do lotnictwa i trudno dziś wyjaśnić, jakim sposobem chłopak, zdany przeciwieństwu na swoje własne siły, zrealizował ten zamiar. Przerzywa naukę w Kowlu i dostaje się do batalionu szkolnego lotnictwa w Świeciu nad Wisłą.

W batalionie tym prowadzone było szkolenie w zakresie obsługi jednostek liniowych. Ale Zygmunt nie miał ochoty zostawać mechanikiem samolotowym, marzył nadal o pilotażu i załatwił sobie przeniesienie do Wojskowego Obozu Szybowcowego w Ustianowej, będącego przedsiódkiem do nauki wojskowego pilotażu. Z końcem lipca 1939 r. z wynikiem dobrym ukończył kurs szybowcowy. Urlop, w pierwszym połowie sierpnia, spędził w rodzinnej Wąwolnicy, mając w kieszeni przydział do Lotniczego Centrum Wyszczolenia Podoficerów w Krośnie.

W liście do brata pisał wkrótce: *Od 18 8 39 jestem w Miodówce... jedno mogę Ci oznajmić, że już sam prowadzę maszynę w powietrzu i wykonuję również wiraże na gazie i bez gazu, w powietrzu dobrze się czuję, a to grani i wszystko dobrze idzie.*

Z chwilą wybuchu wojny losy Zygmunta związane zostały nierozdzielnie z jednostkami polskiego lotnictwa ewakuowanymi kolejno przez Rumunię do Francji, a następnie do W. Brytanii. Niestety, nie są znane żadne fakty z jego wojennej tułaczki, jak również z pobytu w Anglii. Był to zapewne okres intensywnego szkolenia, ale także i lotów operacyjnych, w trakcie których pilot Zygmunt Duński wykazał musiał wyjątkowe umiejętności. Świadczy o tym kolejno jego awanse oraz przydział do 301 eskadry specjalnej przeznaczenia. A w tej eskadrze, prowadzącej tak odpowiedzialne loty, losów ludzi oraz sprzętu nie powierzano w niepewne ręce.

W nocy z 5 na 6 stycznia wystartował do lotu wodzącego w wieczność uhonorowanego suchym, wojskowym komunikatem. Było to bowiem czasy, kiedy krótkim zdaniem odmierzano długość całego, tak przecież skomplikowanego, mającego swoje wloty i upadki, ludzkiego życia.

Wojciech Białasiewicz



Naczelnny Wódz  
deklaracja z dnia  
7 XI 1942

Wyznani  
Wzrostu i Ciepłoty i Płynności  
zaliczył

plut. rty. Taczalskiego Zdzisława

Wzrostu i Ciepłoty i Płynności  
Wzrostu i Ciepłoty i Płynności

VIRTUTI MILITARI  
nadał gen. Miodowski  
Krzyż Srebrny  
tego orderu

Naczelnny Wódz

111-11

Sierżant radiotelegrafista Zdzisław Taczalski z Leszkowic, lecący w załodze kpt. Bohuszewicza i chor. pilot Zygmunt Duński z Wąwolnicy ginęli na ziemi włoskiej mając zapewne przed oczami lubelskie piaski, w których nie dane było im spocząć.

**W**YZNACZONY tytułem problem nie należy do zagadnień łatwych, co nie znaczy, aby go pomijać milczeniem, albo traktować niepoważnie, z przyręcznym okiem i szczypta wdzięcznej ironii, jak to przy okazji referowania redakcyjnej dyskusji „Miesięcznika Literackiego” zrobił S. J. Królik w artykule „18 grudnia Włodzimierza Sokorskiego” („Kamena” nr 13). Ten napisany z dziennikarską pasją i głębokim podtekstem felietonowy artykuł pomija zasadnicze przedmioty dyskusji o wywoławczym hasle „Romantyzm w współczesnej literaturze polskiej” (M. L., nr 5), a tropi jedynie jej peryferie terminologiczne, językowe i sytuacyjne potknięcia dyskusyjantów. Można i tak, ale można inaczej — bardziej na serio, z uwzględnieniem społeczno-literackich uwarunkowań owej materiałowo ciekawej, bo — wydaje się — autentycznej, choć trochę (kiedy dochodzi do osobistych animozji) żenującej dyskusji.

W każdym razie dyskusji w dobitny sposób sygnalizującej toczący się już od kilku lat twórczy ferment, jaki wywołało wejście do literatury pokolenia debiutującego na początku lat siedemdziesiątych, pokolenia, które chce przyjąć pełną odpowiedzialność za kształt obecnej i przyszłej rzeczywistości. Głosi ono (romantycznej proveniencji) postawę maksymalizmu jednostkowo-społecznego, z całym impetem uderza w przejawy: neutralizmu, zakłamania, bierności powodującej ucieczkę w krainę wydumaną arkadii, w własny uczuciowy egotyzm i bezproblemowe zadowolenie czy „zadufanie” — jak chce jeden z głośniejszych przywódców tego pokolenia, Stanisław Barańczak, w książce „Nieufni i zadufani” (Wrocław 1971).

Owa książka, przyjęta na początku z żywiołowym entuzjazmem w gronie twórczej młodzieży, ludziom starszym przedstawia się często jako zbiór niezbyt zrównoważonych, mało domyślanych a pochopnych i za bardzo „ambitnych” twierdzeń, wyprowadzanych na rachunek autora. O co w gruncie rzeczy idzie młodemu (poznajskiemu) badaczowi literatury i poecie? Problem godny jest przemyślenia. Owo pokoleniowy manifest (mniejsza o jego naukową wartość) nie zrodził się przeciw w intelektualnej próżni i nie stwarza fikcyjnej sfery zagadnień głosząc, z emocjonalną pasją, potrzebę zerwania z minimalistycznym, konsumpcyjnym nastawieniem do rzeczywistości (z lat sześćdziesiątych), a przyjęcie postawy życiowego (romantycznego) aktywizmu w literaturze, uwrażliwienie na indywidualne i społeczne zagadnienia natury nie tylko etycznej-moralnej. Oto fragment z wypowiedzi Barańczaka:

Romantyczna postawa nieufności jest propozycją pozytywną całej tej książki. Jest narzędziem — czy, jak kto woli, bronią — z którym powolnie podchodzi do świata współczesny poeta. (...) Jeśli zaś powiadam, iż dzisiaj (podkreślenie — S. B.) konieczna jest w literaturze „romantyczna” postawa nieufności, „klasycystyczne” zaś zadufanie jest to, że właśnie nieufność — rozumienie przez to, że właśnie nieufność — przynosi nam o skomplikowanym świecie takich informacji, które pozostają nam najlepiej zrozumiałe i wydatniej przekształcają (s. 15-16).

Wydaje się, iż Barańczak w imieniu wstępującego pokolenia chce nadrobić zmarnowaną w latach sześćdziesiątych w literaturze szansę przeciwstawiania się społecznym tendencjom „małej stabilizacji” — usypiającej osobistą czujność i aktywność jednostki w walce z zamulającymi rzeczywistość schematami kultury masowej. Pragnie on — i jemu współcześni debiutanci — wyzwolić aktywny (a więc twórczy i odpowiedzialny) sposób podchodzenia do świata, wyrażający się w czynnym, a nie biernym rozwiązywaniu napotykanym problemom. I w tym maksymalistycznym programie pozostaje rzeczywista siła, już nie tyle samego Barańczaka (bo on jest jedynie mniej czy więcej udanym wyrazi-

lem szerszych zamierzeń), co siła nowego post-malostabilizacyjnego pokolenia zaprogramowanych „herosów” i „buntowników”. Współczesny Asnyk mógłby np. powiedzieć: buntujcie się, ale bierzcie pełną odpowiedzialność na siebie, bo przyszłość społeczeństwa w głównej mierze zależy od was, od odpowiedzialnego jej podjęcia przez was, ale nie bądźcie (na Boga) nihilistami, niszczącymi wypracowane i pomocne wartości.

Patetyczne słowa, których użyłem, mają jednak to do siebie, że wprowadzając odświętny nastrój, sferę zamierzeń przenoszą go ontologicznie inny porządek: rzeczywistych (codziennych) dokonań i realnych możliwości. A ton patetycznych deklaracji (denerwujących znaczną część poważnych krytyków) jest obecny w mnożącej się lawi-

— dopatrzeć się można innej, merytorycznej przyczyny dość surowego oceniania tomu li-ryków S. Barańczaka „Dziennik poranny” w numerze 5 „Nowego Wyrazu” przez to samo co poeta pokolenia krytyków: A. Ziemięwicza („Marzenie o naprawie świata”) oraz Ewy Rodé („Zaufać nieufności”).

Istotnie sygnalizowanej dyskusji w „Miesięczniku Literackim” pt. „Blizie współczesności” można ująć poprzez dialektyczne (właśnie) przeciwstawienie społeczno-moralnych i twórczych postaw: pokolenia „Współczesności” („56 roku”) i wchodzącego dopiero do literatury pokolenia „nieufnych”, albo też — by trzymać się tytułów czasopism — pokolenia „Nowego Wyrazu” (określenie obecnie nie używane, ma wiele szans przyjęcia się w przyszłości!). Owo redakcyjne

nasze dość ogólne i enigmatyczne rozważania.

T. Nyczek mówi:

Właśnie postawa Grochowiaka jest dobrym przykładem tego zjawiska, o którym mówię: wczesnej: z upływem czasu wiersz staje się literaturą lepszą, formalnie bez zarzutu, tyle tylko, że już coraz mniej obchodzi czytelnika (wyprowadzam się tu w imieniu swoim i moich kolegów). Dziwnie zaczyna mi przypominać niektóre piękne wiersze autorstwa Kłosa z pokolenia 60, pokolenia świetnych stylizatorów i chwytaaczy udanych metafor. (M. L., s. 48)

Młodzi z impetem zarzucili obecnemu w dyskusji pokoleniu „Współczesności” tzw. rozmyślenie postaw i powolną zdradę rzeczywistości poprzez odchodzenie od jej realiów w świat wyniosłej stylizacji (Harasymowicz, Bryll) i w świat literackiej sztucznej zabawy (Grochowiak). Cytowany już Nyczek nie bez ukrytej emocji mówi do twórców osądzonej literatury „roku 56”, iż wchodzenie w mit kreacji „własnego świata poetyckiego” celem poszukiwania „własnego stylu czy języka” stwarza niebezpieczeństwo zagubienia koncepcji „całościowego widzenia procesów zachodzących w rzeczywistości obiektywnej”. Tak postępowali, według dyskusjanta, twórcy „Współczesności”, a efekt jest przycyżny: Twórczą się wizerze autoliterackie, słowa gonią słowa, ale coraz już mniej za tym poezy, coraz mniej materii życia.

I dalej:

Pisarze ci dani się tak łatwo ukłękli na modłę wiarunków „obiektywnej”, że przyjęli postawy obratonych na świat dzieł i zwłastów. A takiej właśnie postawy najbardziej nie wybaczą ci, którzy mają do tego świata stosunek autentyczny i gresywności (podkreślenie moje — T. P.), bo starają się mówić o nim po prostu prawdę taką, na jaką i oni i oni zasługują. A jest różnica między świadomością, która wie, że świat jest brzydki, i w związku z tym każe raczej błądzić cudowne poetyckie zamki na lodzie, a świadomości wyprzedzającej ostre konsekwencje z tamtej pierwotnej konstatacji. (s. 43)

Nie ma, oczywiście, potrzeby bronienia dobrze już porolich w piórka piararzy „Współczesności” (sami się wybronił i częściowo usprawiedliwił w owej dyskusji, a tłumacza się doskonałymi twórcami typu Z. Herberta i U. Koziół) przed ambitnymi oraz maksymalistycznymi wymaganiami „nieufnych”, jakie ci ostatni postawili i stawiają literackim poprzednikom, i — co najważniejsze — adresują je na siebie (wydaje się) z całą świadomością płynących stąd konsekwencji. Dobrze się stało, że o literaturę (która ma być nie tylko sztuką dla sztuki) rozpoczyna się toczyć krytyczne batalie oddalone od li tylko personalnych utarek. Zaczyna się mówić wprost, bez umiejętnego a nieuczciwego kamuflowania wrogich postaw dla moralności — niszczących i tak zagrożoną w swym XX-wiecznym wyrafinowaniu kulturę ludzkich zachowań. Należy więc — jak to wynikało z dyskusji — dać „nieufnym” kredyt literackiego zaufania i uzbroić się tymczasem w cierpliwość godną wielkiego mecenasa. Głoszone przez „młodych” np. hasło krytycznego zbliżenia do rzeczywistości, którzy chcą, jak Awangardziści (z początku naszego wieku), czuć tętno życia ludzi, sprawdzać wykonanie nalożonych na ludzkość (a więc i na siebie) etnicznych obowiązków, jest sprawą przeciwie do niesłusznego nie tylko w literaturze.

Wypada dla umotywowania odwołać się do jeszcze jednego „manifestu” napisanego dyskursywnie, tym razem autorstwa Adama Zagajewskiego, poety nagrodzonego przez „Nowy Wyraz” za debiutancki tomik wierszy „Komunikat” (1972), jako „najpełniej oddający klimat artystyczny i ideowy młodego pokolenia”. Oto końcowy fragment artykułu Zagajewskiego pt. „Spóźniony debiut” (N.W., nr 5, s. 14):

Jedyną szansą debiutującego w tych latach pokolenia jest stanięcie sobie i literaturze, światu i kulturze, fundamentalnych pytań. Przeszedł na tej drodze jest strajanie się w historyczno-literackie określenia, przymierzanie etykiety i rozmawianie językiem polonistycznego seminarium. Jeżeli pozostaje jeszcze szansa, etyka, dusza, kłamstwem, polityką, to język twórczy (czyli jej) krętki i publicystyczny musi się do tego dostosować i równie wyraźnie i bezpośrednio pytać o problem, którymi żyją poeci i wszyscy inni obywatiele. Nie może to być ten sam język, który tonarzysty poeci „pokolenia 56” czy „pokolenia 60” (w podwójnym cudzysłowie).

# Romantyczni następcy

Tadeusz Polanowski

nie programowych wystąpię młodych poetów (choćby w wieczorach autorskich); jest czymś powszechnym — należą nam nawet do „dobrego tonu”. Otóż, wydaje się, że i dobrze to i równocześnie źle; źle zwłaszcza, gdy za szumnym programem nie kryje się wypracowana w literackiej praktyce koncepcja świata i jasna postawa wobec rzeczywistości. Z tym, oczywiście, w młodej literaturze nie najlepiej, trudno zresztą, by było inaczej. Manifesty rodzą się szybko, literatura powstaje „z latami”, dlatego też w sygnalizowanej dyskusji wspomniano też po raz o kredycie zaufania (którym należy obdarzyć wstępujące pokolenie twórców).

Z programów wiadomo, że trzeba się buntować, krytycznie i dialektycznie patrzeć na rzeczywistość, tworzyć literaturę społecznie zaangażowaną (często pojawiającą się obecnie słowo), co nie znaczy — bezpośrednio usługującą chwilowym modom i zmiennym zapotrzebowaniom w dziedzinie kultury. Ale jak się ustosunkować całościowo do przeszłości, do literackiej i nadwo-kulturalnej tradycji, jak konstruować w praktyce wiersz — na to nie ma przepisu i, w rzeczy samej, być go nie może. Twórczość jest bowiem indywidualnym i jednostkowo ciągle ponawianym (choć „wspólnym” dla danego pokolenia) aktem wyboru najbliższej i dalszej tradycji w imię programowo nie do końca wyjaśnionych zapotrzebowań i „postulatów”, wysuwanych pod adresem przedstawianego świata i człowieka.

Kiedy zbyt jasno wiadomo, „o co poecie chodzi” i erudycja wyznacza takie czy inne twórcze zachowanie się „laborantia”, to wtedy najczęściej powstaje niebezpieczeństwo przeżyłowego nieautentyzmu, niebezpieczeństwo chłodnego odkrywania lirycznego żaru, a zatem — symptom cynicznej i kłamliwej postawy (przed czym tak bardzo bronią się „romantyzujący” twórcy). W ujawnionym przeświadczeniu szukać też należy przyczyny bogoburczych ataków młodzieży literackiej na wyważonego w słowie Juliana Przybosa — zracjonalizowanego w metaforze konstruktora doskonałych wierszy w swoim warsztatowym spreparowaniu. I wreszcie

spotkanie było tak pomyślane (chwala W. Sokorskiemu — niedostatkowi wychwylił J. S. Królik), że od początku w centrum zainteresowania znalazł się kierunek poszukiwań reprezentowany przez „młodych” (wcale nie speszonych dostojnym gronem pisarzy i krytyków pod czterdziestkę). Byli tam Grochowiak, Drozdowski, Łukasiewicz i byli: J. Kornhauser, T. Nyczek, T. Menewel oraz o międzypokoleniowej orientacji, sprzymierzony z młodymi — Maciej Szymbist (nie wymieniam wszystkich dyskusyjantów, nie wchodzę w kwestię dlaczego ci a nie inni zasiedli przy redakcyjnym stole). Wypowiedziane sądy dotyczyły moralno-politycznej postawy pokolenia „Współczesności” oraz pokolenia „nieufnych”. Tendencja naczelna dyskusji stała się próba zdania „sobie” sprawy z tego, co zamierzali i nadal zamierzają powiedzieć pisarze i poeci „roku 56”, a co żądają od nich czytelnicy typu młodych dyskusyjantów, którzy chcą dla własnego literackiego programu i osobisto-społecznego światopoglądu znaleźć sprzymierzeńców i wyprobowanych mistrzów słowa, ale także mistrzów autentycznego zachowywania się mierzonego czynem (którym jest też tworzona literatura), czynem zgodnym z żywiołami na dany temat przekonaniami.

Jednym słowem młodzi — wyklęający się wcześniej na łamach krakowskiego „Studenta” i w różnego rodzaju almanachach literackich, a obecnie w ich własnym piśmie „Nowy Wyraz” o różnego typu przynypia — zarzucili swym starszym kolegom z „roku 56”, że pokolenie to nie miało nigdy całościowego, społeczno-literackiego obrazu świata i obrazu kultury oraz programu działania względem współczesnej im i futurologicznej rzeczywistości. Ze pokolenie „roku 56” bazowało jedynie na negatywnym podejściu do zastanej i wcześniejszej jeszcze rzeczywistości, które (podejście) z czasem — przy braku programu pozytywnego — zaprowadziło pisarzy, poetów i krytyków tej orientacji w zaułek świetnych literacko stylizacji i metaforycznych upiększeń nie rozumianego ciągle świata. Pora na krótki cytat, który by poparł

## Lubelska szkoła wydziałowa

Józef Kalinowski

Tworzenie nowego modelu systemu oświatowego, mającego zapewnić wszechstronny rozwój młodego pokolenia i przyspieszenie, określone uchwałami VI Zjazdu PZPR, społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, zbiegło się w czasie z popularizowaniem wiecznie żywych i nadal stanowiących cenne źródło refleksji i inspiracji pedagogicznej idei Komisji Edukacji Narodowej.

Ta zbieżność stwarza sprzyjającą aurę dla choćby szkicowego przedstawienia dziejów wojewódzkiej szkoły w Lublinie, początkowo bezpośrednio podlegającej KEN, a zawsze otoczonej szczególną jej pieczą.

**S**ZKOŁA ta sprawowała od początku pieczę nad znajdującymi się w województwie szkołami średnimi i parafialnymi (elementarnymi), a była „pod opieką i nadzorem” jednego z najaktywniejszych i bardzo zasłużonych komisarzy, Ignacego Potockiego, wywodzącego się z wilanowskiej linii tego rodu, a właściciela m.in. Kurowa i Puław.

Magnat ów, podówczas 23-letni, przeprowadziwszy 17 i 18 X 1774 r. wizytację kolegium pojezuickiego w Lublinie, mianował prefekta szkoły (rektora powołała KEN), na-

uczycieli, kierownika apteki i biblioteki oraz ogłosił ustanowienie szkoły wojewódzkiej, trafnie w przemówieniu podkreślając, że starania KEN o dobre wychowanie młodzieży będą darowane „jeżeli... wsparcie nie zostaną pomocą rodziców, nauczycieli i uczniów”.

Szkołą tą żywo interesował się również, także wybitny członek KEN, Adam Czartoryski, właściciel Puław.

Przejęte przez KEN kolegium zajmowało kompleks gmachów przy ul. Trybunalskiej (dawnej — Jezuickiej), a dzięki szczeremu nadaniu osiągało duże dochody z posiadanych w Lublinie kamienie i placów oraz licznych dóbr ziemskich, z których sam skuce chodełski obejmował miasto Chodel i 8

wsi. Przy szkole istniał konwikt nobilitum, bursa studentów ubogich oraz biblioteka złożona z 5933 dzieł.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że baza materialna szkoły wojewódzkiej była dobra. Przeciwnie. Stan jej był opłakany. W okresie bowiem działania Komisji Rozdawniczej wiele z majątku pojezuickiego rozgrabiono, a brak należytej troski o budynek pojezuickie ze strony ks. ks. trynitarzy, którym została powierzona nad nimi opieka, doprowadził z czasem do ich dewastacji. W raporcie powizytacyjnym z 1783 r. stwierdza się, że „wszystkie podłogi, piece, okna, zle” a w następnym roku, że „niektórzy nauczyciele w swoich mieszkaniach uczy”.

Także wyposażenie szkoły w pomoce naukowe było rażąco słabe. To, że zmieniła ona swój profil dydaktyczny z klasycysto-retorycznego na matematyczno-przyrodniczy, przy wyekspozowaniu wiadomości z zakresu rolnictwa, ogrodnictwa, higieny, geologii, hydrauliki i in., tłumaczy tylko częściowo występujące braki. Przyczyną główną był brak funduszy. Istniejące w szkole 2 muzea (pracownie): matematyczne i fizyczne, jeszcze w r. 1783 posiadały zaledwie po kilkanaście przyrządów.

Owczesna szkoła średnia po r. 1780 występowała jako wydziałowa, zwana też wyższą i podwydziałowa, czyli niższą. Główna między nimi różnica dotyczyła nie programu, a liczby nauczycieli: w wydziałowej było sześciu, w podwydziałowej trzech. W przyszłości jednak miało i pod tym względem nastąpić zrównanie.

Liczba uczniów szkoły wydziałowej w Lublinie w latach 1781/82 do 1794/95 wynosiła kolejno: 85, 79, 65, 151, 133, 162, 130, 136, 138, 137, 174, 167, 186, 122. Po reformie akademii

(uniwersytetów), przekształceniu ich na Szkoły Główne utworzeńsiu jednolitego, obejmującego wszystkich nauczycieli, stanu akademickiego i zaprowadzeniu generalnej hierarchii szkolnej, na jej szczytce stanęły Szkoły Główne, zawiadujące bezpośrednio szkołami wydziałowymi. Rektorzy zaś szkół wydziałowych stali się zwierzchnikami szkół podwydziałowych, a prorektorzy tych ostatnich objęli nadzór nad szkołami parafialnymi i prywatnymi pensjami.

W 1783 r. liczba wydziałów została zmniejszona i powstał m.in. wydział małopolski, obejmujący szkoły akademickie w Krakowie, Sandomierzu, Pińcowie, Lublinie i w Kielcach. Na jego czele został powołany rektor dotychczasowego wydziału lubelskiego, co oczywiście podniosło prestiż szkoły lubelskiej.

KEN należałco rozumiwała decydującą rolę nauczyciela w procesie pedagogicznym. W „Ustawach” swych podkreśliła, że „powinien być o tym przekonany, że przymioty jego rozumu i serca wpłyną w rozum i serce uczniów”. Ale mimo to problemu kadr nigdy nie zdołała całkowicie rozwiązać. Brak przygotowanych do pracy w nowej szkole nauczycieli paraliżował najlepsze zamierzenia KEN. Borykając się z trudnościami kadrowymi, postanowiła w pierwszej kolejności obsadzić dobrymi nauczycielami trzy wybrane szkoły wydziałowe: lubelską, poznańską i sandomierską. I w r. 1780, przy pośrednictwie Kollajtaja, przeprowadzającego reformę Akademii Krakowskiej, kilka wybitnych osób z jej profesury zostało skierowanych do Lublina.

Rektorem został ks. Antoni de Camelin, prefektem ks. Wincenty Trefler, nauczycielami: Józef Czech, Józef Florowski, Franciszek Scheldt, Józef Januszowicz, Wincenty Pieniążek, Jacek Przybylski. Podob-

ny skład; kierownictwo — osoby duchowne, nauczyciele — świeccie, utrzymany został do końca z niewielkimi jedynie wyjątkami.

Ogółem przez szkołę lubelską przewinęło się 28 osób, z których tylko 7 było duchownymi, a 21 świeckimi. Z tych ostatnich 12 osób to dawni akademicy, a 9 — wychowankowie prowadzonego przy Szkole Głównej od r. 1780 pod kierownictwem światłego pijara, Antoniego Popławskiego, seminarium dla profesorów narodowych. System kształcenia dostosowany został do wysokiego pojmowania roli nauczyciela. Do seminarium przyjmowani byli, po egzaminie, przeprowadzonym przez wizytatora generalnego, najlepsi kandydaci, zgłaszani przez zgromadzenia wydziałowe i studenci Szkoły Głównej. Nauka łącznie z praktyką w szkole wydziałowej trwała początkowo 5, a potem 4 lata. Uczniowie obowiązani byli do cotygodniowych popisów, a 2 razy w roku wygłaszali referaty wobec wykładowców i gości. O wysokim zaś poziomie, a częściowo i postępowej postawie nauczycieli lubelskich świadczy, że J. Przybylski przelożył do druku „Kandyda” Voltair’a, Koźmian zaś stwierdza, że wielu z nich, np. Czech, Girtler, Soltykowiec, Przybylski, Zarzycki, stało się później „członkami dwóch akademii i Liceum Krzemienieckiego”.

Gdy wkrótce ks. de Gamelin został nauczycielem synów ks. San-guski w Lubartowie, stanowisko rektora objął na długi czas ks. Franciszek Salezy Jezierski, wybitny postępowy publicysta i pisarz, człowku działacza „Kuźnicy Kollajtajowskiej”, zasłużony szermierz postępu, odsunęty na pewien okres od funkcji publicznych za poglądy antyzłacheckie. Czwartym zaś i ostatnim był ks. Seweryn Wedykow-

**K**AZDY postrzegany i po-  
znawany przez człowie-  
ka przedmiot, każde  
zdarzenie i zjawisko za-  
wiera dwie podstawowe  
informacje: obiektywną  
i subiektywną. Informacja ob-  
iektywna stwierdza np.: jest z drewa-  
na lub metalu, jest twardy lub  
mięki, jest duży lub mały, posiada  
określoną wagę i jakąś strukturę  
chemiczną. Natomiast każda infor-  
macja subiektywna jest zawarta za-  
równo w postrzeganym przedmiocie  
jak i w człowieku, który ten przed-  
miot postrzega. Postrzegany przed-  
miot może być ładny, miły, zachwy-  
cający, wspaniały — lub brzydki, nie-  
ładny, odrzucający. Zależnie od tego,  
który z tych dwóch stanów w nas  
powstaje, nasze działanie zmierza

strachu o życie walczyła do ostat-  
ka. Wskutek uderzeń łapek żaby  
śmietana powoli gęstniała, prze-  
kształcając się w końcu w grudkę  
twardego masła. Żaba wlała na nie  
i wyskoczyła ze słowa.  
Wielokrotnie ludzie znajdują się  
w sytuacji, gdy chłodne, logiczne  
rozumowanie wywiera wpływ demo-  
bilizujący, uniemożliwia, albo co  
najmniej utrudnia uzyskanie celu.  
Obuchowski w swojej książce o  
strukturze procesów emocjonalnych  
przytacza za Simonowem cytaty z  
„Ziemii, ojczyzny ludzi” Saint  
Exupery’ego. Mówi lotnik, który roz-  
bił samolot w bezludnych górach:  
Zaczynając od drugiego dnia, naj-  
większą siłą kosztowało niemyślenie.  
Polożenie było zbyt beznadziejne.  
Żeby mieć odwagę na to, aby iść,

„Nie rusz tego” — krzyczy matka  
wznagając słowa przykrym do-  
znaniem fizycznym — i określony  
przedmiot spręża się z emocją  
ujemną, powodując reakcję unikania.

Jest zupełnie zrozumiałe, że pra-  
widłowość lub nieprawidłowość ro-  
zwoju fizjologicznego podłoża emocji,  
jakimi są takie struktury mózgu  
jak śródmózgowie i układ limbicz-  
ny, ułatwia lub utrudnia rozwój  
uczuciowości sprężonej, intelektu-  
alizowanej.

Skala rozwoju życia uczuciowego  
człowieka wskazuje na olbrzymią  
rozpiętość wysycenia: od nadwrażli-  
wości uczuciowej aż do chłodu  
uczuciowego. Zatrzymam się nad  
górną granicą tej skali zarówno w  
wyniku dziedziczenia pewnych cech  
jak i pod wpływem oddziaływania  
środowiska. W rozwoju każdego  
osobnika wykształca się struktura  
psychicznie określona jako hyper-  
estetyczna. Cechą tej struktury jest  
przeculica, nadwrażliwość, emocjo-  
nalna delikatność uczuć, zdolność  
do przeżywania subtelnych stanów  
wzruszeniowych. Uczuciowa nad-  
wrażliwość powoduje przykre prze-  
żywanie zjawisk negatywnych, od-  
noszących się zarówno do samego  
osobnika jak i zachodzących w ka-  
tegoriach społecznych. Ludzie tego  
pokroju nie są w stanie zrobić ni-  
komu krzywdy — sami podlegają  
nieustającemu urazom, sami doznają  
wiele złego od otoczenia. Nie mogą  
pogodzić się z wieloma zjawiskami,  
ale są zbyt wrażliwi, a w tym zbyt  
słabi, aby się tym zjawiskom prze-  
ciwstawiać.

Z punktu widzenia biologicznego  
są to ludzie słabi. Z punktu wid-  
zenia społecznego są to ludzie  
nie dostosowani. Z punktu  
widzenia moralnego są to ludzie  
dobrzy.

Twarda, codzienna walka o byt,  
skomplikowane i wielokrotnie bru-  
talne stosunki społeczne stawiają  
tych ludzi przed pytaniem „być  
albo nie być”. Zdają sobie sprawę,  
że ich dalsza egzystencja zależy od  
zmiany ich samych. Jeżeli popęd  
do zachowania życia jest słabszy, a  
problemy psychiczne przerastają  
możliwość osobnicze człowieka —  
decyzyjnie prowadzi do unicestwie-  
nia siebie samego. Żeby „być”  
trzeba stracić, zmienić się,  
przekształcić swoją strukturę. Trze-  
ba za wszelką cenę wyżyć się  
przeculicy, przewrażliwienia i sub-  
telności. Trzeba stać się chłodniej-  
szym uczuciowo.

Z punktu widzenia biologicznego  
trzeba stać się mocniejszym.  
Z punktu widzenia społecznego  
trzeba być dostosowanym. Z  
punktu widzenia moralnego trzeba  
stać się gorszym.

Współczesna psychofarmakologia  
posiada duże możliwości. Możemy  
podać leki tłumiące hyperestezję —  
możemy zmienić pewne cechy  
struktury osobowości. W tych przy-  
padkach lekarz działa na prośbę  
człowieka, który nie jest chory —  
ale który musi zrezygnować z po-  
zytywnych cech swojej struktury w  
imię potrzeby adaptacji społecznej.  
Uniwersalne prawo do zachowania  
życia realizuje się przez rezygnację  
z własnych walorów.



Rys. Zbigniew Strzałkowski.

A oto inny przykład przystoso-  
wawczej roli emocji. Współczesne  
życie niesie ze sobą wypadkowość,  
a konsekwencją jej bywa kalectwo —  
mimo znacznego postępu chirur-  
gii. Kalectwo jest zawsze ciężkim  
urazem psychicznym, szczególnie  
gdy dotyczy ludzi młodych. Młoda  
dziewczyna po przebytej katastro-  
fie samochodowej pozostała kaleką.  
Chodzi o kulach, jest operowana na  
twarzy. Wie jaka będzie jej przy-  
szołość. Jest przygnębiona, załamana,  
miewa myśli samobójcze, a nawet  
próbę to myśli realizować.

I oto układ emocyjny przychodzi  
z pomocą. Pojawia się w dziewczyn-  
nie zaburzenie psychiczne, które na-  
zywamy reakcją kompensacyjną. Nastrój z przygnębionego  
zmienia się na podwyższony, jest  
wesoła, zadowolona, dowcipująca,  
z lekceważeniem mówi o kalectwie

Dokończenie na str. 11

# Teatr ukraiński w Lublinie

Stefan Kruk

**S**EZON 1901/02 trupy  
Henryka Morozowicza  
w lubelskim teatrze zi-  
mowym dobiegł końca.  
Wypełniły go głównie  
lekkie komedie, co by-  
najmniej nie gorzyło recenzenta  
„Gazety Lubelskiej”, gdyż „godziwa  
rozrywka” stała się dewizą Zdzisła-  
wa Piaseckiego, który w tym cza-  
sie rozdawał w „Gazecie” cenzurki  
inscenizacjom opracowywanym w  
Lublinie. Repertuar modernistyczny  
zaś, jako „niemoralny” przez tegoż  
redaktora, prawnika z wykształce-  
nia, oraz przez jego współpracowni-  
ka podpisującego się inicjałami „L.  
S.” (Stanisław Lewandowski?), był  
zaciekle zwalczany. Gwoli sprawi-  
dliwości dodać trzeba, że ówczesna  
krytyka lubelska dążyła do ustabil-  
izowania sytuacji teatralnej miasta i  
związania z nim stałej trupy tea-  
tralnej, której nie tylko z nazwy  
spółki akcyjnej, lecz de facto przy-  
sługiwaby tytuł: Teatr Lubelski.  
Wylimitowanie z repertuaru ope-  
retki (teoria), bądź też wyraźne jej  
ograniczenie (realizacja) na korzyść  
komedii poczytywane było, i słusz-  
nie, za niebłahy sukces trupy Mo-  
rozowicza.

Jednakże gust dykcji teatru i  
krytyki był zdecydowanie realisty-  
czny, toteż twórczość Fredry, Ko-  
złowski, Bliznińskiego i Balu-  
ckiego stanowiła szczyt artystyczny  
rozwoju. Publiczność zaś, choć  
rozrywką nie gardziła, zdradzała  
naturalne przecieć zainteresowanie  
nową literaturą dramatyczną. Być  
tak musiało, skoro, artyści na  
przedstawienia beneficjne, a więc  
obciążone na indywidualny zysk ak-  
tora, wybierali m. in. „Dla szczę-  
ścia” Przybyszewskiego (15 II 1902 r.  
— Bronisława Chranowska), „W  
stojącej wodzie” (23 II 1901 r. —  
Janina Kisielewska (oraz „Kryster-  
ne” (15 III 1902 r. — Aleksander  
Bogusiński) Franciszki Arnsztajno-  
wej, której sztuki w tym czasie cie-  
szy się powodzeniem nie tylko na  
scenie lubelskiej.

Morozowicz z początkiem maja udał  
się wraz ze swoją trupą do Siedlec.  
Pech jednak przesładował tego roku  
obrotowego dyrektora, który zresztą en-  
gagement na następny sezon lubelski miał  
już w kieszeni, gdyż w Siedlcach ode-  
brała sobie życie siedemnastoletnia  
członkini zespołu, lublińska Janina  
Dremont. W czerwcu trupa Morozowicza  
osiadała w Warszawie w teatryku „Helle-  
vue” przy ulicy Chmielnej nr 9, próbując  
pozyskać widownię repertuarem po-  
dobnym do tego, jakim raczone w sezo-  
nie zimowym lubliński. Publiczność war-  
szawska jednak zlekceważyła spektakle,  
więc Morozowicz, w dodatku zgromiony  
przez „Kurier Poranny”, z początkiem  
lipca przeniósł się do trupy kaliskiej, z  
którą wyjechał do Cielochocina. Jego  
macierzysta trupa, rozbita i głodująca  
niemal przez cały czerwec, usiłowała  
grać dalej gdzieś na Muranowie, pod  
kierunkiem innego dyrektora.

W Lublinie życie teatralne jednak  
nie zamarło. W teatrze letnim „Ru-  
salka” w maju i czerwcu 1902 r. da-  
je występ Towarzystwo Malorosyj-  
skich Operetkowo-Dramatycznych  
Artystów pod dyrekcją M. Jaro-  
szki, w lipcu, sierpniu i wrześniu  
zaś polskie Towarzystwo Artystycz-  
no-Dramatyczne, kierowane zrazu  
przez Czesława Wiśniewskiego, póź-  
niej, gdy ten nie wykazał dostatecz-  
nej energii, przez Kazimierza Boga-  
ra. Trupa polska na trzecie przed-  
stawienie wybrała „Doktora Stock-  
mana” („Wroga Ludu”) Ibsena, pod  
koniec września natomiast dała,  
jakże mylące swym tytułem,  
„przedstawienie secesyjne”, na któ-  
re złożył się dramat jednoaktowy  
nie wymienionego z nazwiska Ro-  
berta Bracco: „Pietro Caruso” (we-  
rzym włoski) oraz deklamacje...  
„Dzwonów” Ujejskiego i innych u-  
tworów, m. in. „Pan Piperment w  
Nalęczowie”. Poza tym grano same  
farsy, melodramaty i operetki.

Na tym tle występy zespołu ukra-  
ińskiego, które trwały od 8 maja do  
25 czerwca 1902 r., wypadły intere-  
sująco. W repertuarze tego zespołu  
uderzała zdecydowana przewaga u-  
tworów narodowych. Na ogólną  
liczbę dwudziestu pięciu sztuk gra-  
no jedną tylko, jakby zabiłką,  
operetkę („Gejsza” Jonesa), dwie —  
nieprzypadkowe już — adaptacje  
prosy polskiej: J. I. Kraszewskiego  
„Chata za wsią” i E. Orzeszkowej  
„W zimowy wieczór”, dwie przerób-  
ki narracyjnych utworów Gogola  
 („Noc majowa” oraz „Wij”), wresz-  
cie „Halke” Moniuszki. Razem sześć  
utworów tłumaczonych na język uk-  
raiński; dziewięć natomiast pozosta-  
łych wyszło spod pióra autorów uk-  
raińskich.

Jacy to pisarze? Pięciu z nich to kła-  
sycy literatury ukraińskiej: H. Kwitka-  
Oswonianenko (1 utwór), M. Starycki (3  
sztuki), M. Kropywnycki (3 utwory), I.  
Karpenko-Karyj (2 sztuki), no i nade  
wszystko Taras Szewczenko (1 Libretto  
osnute na motywach poematu „Katarzyna”). Ponadto grano dwie sztuki To-  
hochobnego (Szewczenko) i po jednej —

Suchobolskiego, Wańczenki, Aszkarenki,  
Siewierskiego, Mańki, Ustenki i Harma-  
sza, Protopowa, Podwysockiego, Buraśka  
i in. Było więc czym się poszczycić!

Jakie to sztuki? Przede wszystkim wo-  
dewille (14 utworów) i dramaty ludowe  
(5 sztuk), ale także opery, których głów-  
nym twórczym był folklor („Katarzyna”),  
wreszcie fantastyczne feeerie („Trze-  
wiczki królowej” Aszkarenki, „Wij”  
Kropywnyckiego, „Noc majowa” Ustenki  
i Harmasza). Czysta komedia reprezen-  
towana była tylko jednym utworem („Nie-  
wotnicy zabawy” Protopowa).

Główną cechą repertuaru trupy  
ukraińskiej obok charakteru naro-  
dowego był folklor. Ukraińscy arty-  
ści chętnie strolili się w kostiumy  
cygańskie („Skarb zaporoski”) Wań-  
czenki, „Cyganka Aza” Staryckiego  
wg Kraszewskiego, „Nowe romanse  
cygańskie w osobach”, a także zy-  
dowskie („Zydówka wychrzona”  
Tohochobnego), ale ich charakter  
narodowy najlepiej wypowiadał się  
w inscenizowaniu rodzimych zwy-  
czajów, wierceń i obrzędów. Wie-  
czornice wypełnione śpiewem i tań-  
cami, swatanie, szczęśliwa lub nie-  
szczęśliwa miłość — oto główne te-  
maty utworów tego rodzaju. A oto  
z jakim entuzjazmem recenzent,  
zrazu z rezerwą odnoszący się do  
występów zespołu Jaroszenki, pisał  
o inscenizacji wodewilu „Oj, nie  
choź Hryciu na wieczornice” Stary-  
ckiego, tej „rzewnej, przelicznej  
melodii ludu ukraińskiego” („Gaze-  
ta Lubelska” nr 109): „Na tle walki  
dwóch rywali o serce dziewczyny  
rozgrywa się dramat ludowy, napi-  
sany z wielkim talentem i znajomością  
sceny i wykonany świetnie  
przez artystów. Znać, że tamci arty-  
ści to są Ukraińcy z krwi i kości,  
grają i śpiewają z takim zapalem  
i tańczą z takim animuszem, że  
widz patrząc na scenę ma wrażenie,  
jakby był w wiosce na Ukrainie.  
Śpiewy i tańce przy malowniczych  
kostiumach ludu małopolskiego spr-  
awiają dodatnie wrażenie, toteż nie  
dziwne, że teatr p. Jaroszenki do-  
znaje zupełnie zasłużonego powo-  
dzenia”.

Grano także utwory poważniejsze,  
w których oprócz folkloru roz-  
brzmiewała nuta społeczna („Na-  
jemnica” Karpienki-Karnego, „Wie-  
czór zimowy” Staryckiego według  
powieści Orzeszkowej). „Walka o i-  
deę czyli Kain i Abel” to sztuka o  
problematyce moralnej.

Nie ulega jednak wątpliwości, że naj-  
mniejszą stroną repertuaru zespołu  
Jaroszenki były pieśni chórne oraz  
tańce. Przenikały one do wszystkich  
niemal inscenizacji, stanowiły także od-  
rębne całości wokalne, którym nieje-  
dnokrotnie kończono spektakle („Kwiaty  
ukraińskie”, „Wieczornice”, bądź też  
tworzyły wiazanki melodii („Nowe ro-  
manse cygańskie w osobach, mozaika  
muzyczna w 3 aktach”), lub wreszcie  
przeradzały się w pełny teatr operowy.  
Zarówno śpiew jak też choreografia  
musiały być nienagannie wykonywane,  
skoro krytyk pisał, że ma wrażenie  
„jakby był w wiosce na Ukrainie”.

Jacy artyści grą swoją budzili ty-  
le życzliwego zainteresowania? Z  
nazwiska znamy tylko paru, warto  
więc ich tutaj wymienić. Poza M.  
Jaroszenką prasa odnotowała naz-  
wiska: Kostenko-Bobiatyńskiej, Zi-  
nina, Łozowego, Kostenki, Warwa-  
luka i Harmasza. A co wiemy o sty-  
lu gry? W recenzji z inscenizacji  
„Cyganki Azy” pada kilka uwag na  
ten temat, ale są one zdawkowe i  
nieprecyzyjne. Jednak można z nich  
wnioskować, że artystom ukraiń-  
skim nieobce było psychologiczne  
pogłębienie roli oraz prostota i  
naturalność gry (Zinina, Kostenko-  
Bobiatyńska, Łozowy), choć nie stroni-  
li także od charakterystyczności,  
zatem zewnętrznego niejako budo-  
wania kreacji (Jaroszenko—Koste-  
nko).

Na koniec słów kilka na temat o-  
becności kultury polskiej w naro-  
dowym teatrze ukraińskim. Mówi-  
no wyżej o dwóch adaptacjach  
prosy polskiej, które przez artystów  
ukraińskich chętnie były grywane.  
Wspomnieć jeszcze trzeba o wysta-  
wieniu „Halke” z librettem przeło-  
żonym przez Podwysockiego. Recen-  
zent „Gazety Lubelskiej” żalował  
jednak, że tłumacz niektóre frag-  
menty libretta Wolskiego opuścił,  
dodał zaś własne, co zmniejszyło  
czystość tkanki dramaturgicznej ope-  
ry. Rola tytułowa wykonana Zinina,  
„której ofiarowano bransoletkę i  
kosz kwiatów”.

„Halke” żegnał się teatr ukraiński  
z Lublinem. Mimo usterek w jej  
wykonaniu, ogólny bilans występów  
zespołu był dodatni. Polacy prze-  
konali się, że w prowincjonalnych  
miastach Ukrainy krzewi się bnie  
prawdziwa sztuka narodu ukraiń-  
skiego.

Kamena str. 5

## Struktura emocjonalna a społeczna adaptacja

Adam Majczak

albo do powtarzania zjawiska, jeże-  
li ma ono charakter przyjemny, albo  
do unikania, jeżeli ma ono char-  
akter przykry.

Zarówno ten subiektywnie prze-  
żywany stan jak i działanie nazy-  
wamy emocją; emocją dodatnią  
jeżeli chcemy, aby się powtarzała i  
emocją ujemną, jeżeli unikamy jej  
powtarzania.

Każdy żywy organizm kieruje się  
uniwersalnym prawem: prawem do  
zachowania życia. U wyżej zorgan-  
lizowanych zwierząt, posiadających  
układ nerwowy złożony, wykształci-  
ły się struktury mózgowie, których  
czynność zabezpiecza odróżnianie  
tego co ujemne, niebezpieczne i po-  
trzebne. Wyrazem czynności tych  
struktur mózgowych są emocje.

Czynniki, które zwierzę musi roz-  
poznać i ocenić, są tak liczne i róż-  
norodne, że praktycznie nie dyspo-  
nuje ono nigdy dostateczną ilością  
czasu, aby się nimi kierować i na  
nich polegać. Istnieje więc koniecz-  
ność działania takiego układu, który  
dawałby szybka odpowiedź na  
pytanie — „czy jest to czynnik  
szkodliwy czy pożyteczny?” — „zbi-  
łżeć czy uciekać?” Ten układ  
to właśnie emocje.

Aby jeszcze lepiej zilustrować  
przystosowawczą rolę emoci-  
ji, można przytoczyć za Simonowem  
bajeczkę o dwóch żabach, które  
rzuciły się do wody z śmietaną.  
Rozsadna żaba, gdy przekonana się  
o beznadziejności sytuacji, zrezyg-  
nowała z — jej zdaniem — bezużytecz-  
nych prób i utonąła. Druga, bar-  
dziej rozwinięta emocjonalnie a  
mniej intelektualnie, pod wpływem

trzeba było mniej myśleć o swojej  
sytuacji.

Proste emocje jak lek, głód, po-  
pęd seksualny — znamienne dla  
zwierząt — stwierdzić możemy  
również u człowieka. Jednakże w  
toku złożonego procesu ewolucji  
czynności nerwowych pojawiły się  
u człowieka bardziej złożone struk-  
tury emocjonalne, które nazywa-  
my uczuciami, uczucio-  
wością sprężoną albo  
uczuciowością intelektualizowaną.  
Znakomity polski  
uczonego psychiatry, Jan Mazurkie-  
wicz, stworzył oryginalną, własną  
konceptję roli życia uczuciowego w  
ewolucji czynności psychicznych  
człowieka. Jego zdaniem życie  
uczuciowe osiąga u człowieka naj-  
wyższy rozwój i obejmuje sternie-  
two zachowania. Uczucia moralne,  
etyczne, estetyczne, humanitarne,  
patriotyczne itd. są tą formą życia  
psychicznego, która steruje dowol-  
nym i świadomym zachowaniem  
człowieka, wywierając hamujący  
wpływ na prostsze formy życia  
uczuciowego, jakimi są emocje.

Uczuciowość intelektualizowana  
rozwija się w oparciu o emocje pod  
wpływem społecznego procesu wy-  
chowania, który jest niczym innym  
jak uczeniem się. W toku tego pro-  
cesu każda emocja, dodat-  
nia czy ujemna, uzyskuje  
określoną treść — jest to  
zjawisko sprężania znaku emocji z  
treścią. „Popatrz jaka ładna piłka,  
jakie piękne niebo” — mówi matka  
— i globalna dodatnia uczuciowość  
dziecka skierowana do matki łączy  
się z treścią przez matkę podaną.

ski, później radca wojewódzki i czyn-  
ny członek Lubelskiego Towarzyst-  
wa Przyjaciół Nauk, proboszcz w  
Markuszowie.

Jednak we współwzrostu młodych,  
ożywionych nowym duchem, świe-  
ckich nauczycieli i kierownictwem  
szkoły wielokrotnie wybuchały kon-  
flikty. Najostrzejszy pomiędzy trze-  
cim z rektorów, ks. W. Trefflerem  
a nauczycielami: Girtlerem, Solty-  
kiewiczem i Zarzeckim. Zażegnany  
został dopiero po interwencji Koł-  
łątaja. Zbyt zaś, jak na ówczesne  
zwyczaje, swobodny tryb życia na-  
uczycieli świeckich raził początko-  
wo miejscowe społeczeństwo i po-  
głębiał niechęć do nowej szkoły z  
powodu, jak mawiano, „balamutnej  
edukacji” i „warszawskiej zarazy”,  
a zwłaszcza ograniczenia nauki  
łaciny. Na tle tego niezadowolonia  
nastąpił w 1780 r. masowy wyjazd  
młodzieży szlacheckiej ze szkoły lu-  
belskiej za granicę, a także do Za-  
mocnia, gdzie po dawnemu uczyli  
duchowni i po łacinie.

Ostatecznie jednak dobre wyniki  
pracy szkoły lubelskiej, obserwowane  
nie tylko przez rodziców, ale  
i członków Trybunału, palestre, po-  
słów zjeżdżających na sejmiki i in-  
ne znaczniejsze osoby, zaprzasa-  
ne corocznie na popisy i egzaminy,  
powodowały zmianę opinii o nowej  
szkole i zmianę stosunku do nau-  
czycieli świeckich. K. Koźmian  
stwierdza, że z czasem „ładna ucza-  
ta, żaden obchód nie odbył się,  
szczególnie w dni wolne od nauki,  
na której by się prefekt z kilkoma  
akademikami nie znajdowali i go-  
spodarz by się sądził upośledzo-  
nym, żeby w osobach ludzi uczo-  
nych nie oddał tego holdu naukom,  
a świadectwa sobie, że się z nimi  
sprzyjał”.

Urzędowa ocena pracy szkoły by-  
ła również dobra. Wizytatorzy  
Szkoły Głównej w raportach swych  
z reguły podkreślali dobry poziom

szkoły, choć często wysuwali za-  
strzeżenia co do stanu łaciny,  
warunków lokalowych, a niekiedy  
i dyscypliny. Np. wizytator z 1786 r.  
pisał: „Winiem jestem oddać spr-  
awiedliwą pochwałę nauczycielom  
tegoż zgromadzenia, którzy z taką  
pilnością, ochotą i wiernością uczą,  
jakich nie doświadczyłem po in-  
szych szkołach i osobach nauczy-  
cielskich”.

W myśl „Ustaw” KEN, określają-  
cych precyzyjnie zasady i obowiązki  
tak uczniów, jak nauczycieli i  
nadzoru szkolnego w każdej dzie-  
dzinie życia szkolnego, opracowa-  
nych na wniosek Ignacego Potoc-  
kiego w czasie 3-letniej i bardzo  
szerokiej nad nimi dyskusji, stano-  
wisko rektora szkoły, jak zreszta  
i wszystkie inne kierownice, po-  
wierzone być miało w drodze wy-  
boru. Ale zastosowanie tej zasady  
z góry zostało zawieszona na 8 lat.

Pierwsze i jednocześnie ostatnie  
obrazy elekcyjne wydziału ma-  
łopolskiego odbyły się w 1790 r. przy  
udziale 16 osób, reprezentujących  
szkołę lubelską, sandomierską i piń-  
czowską. Rektorem wydziałowej  
szkoły w Lublinie, a więc i wy-  
działu małopolskiego, został wybra-  
ny ks. S. Wedykowski, dotychczasowy  
jej prefekt.

Szkicowo ujęte dążeń szkoły wy-  
działowej w Lublinie pozwalała  
stwierdzić, że nie zawiadła ona  
szczęśliwym oczekiwan z strony  
Komisji Edukacji Narodowej. Jej  
zespół pedagogiczny przerastał swym  
poziomem inne, a zwłaszcza jego  
młodsi, owiani duchem łalekiego  
racjonalizmu i cechującego Oświe-  
cenie optymizmu pedagogicznego  
świeccy członkowie wnieśli nowe  
pierwiastki w życie szkoły, o której  
spodawany uznaniu świadczy też  
nadawana jej niekiedy nazwa Aka-  
demii Lubelskiej.

# Powrót do dzieciństwa

Marek Adam Jaworski

**W** PLANIE, że się tak wyrażę, życzeń, które przedstawiłem moim lwowskim gospodarzom, było jedno, osobiście bardzo dla mnie ważne: chciałem odwiedzić Wojniłow, niewielką wieś położoną w dawnym województwie stanisławowskim, dziś Iwano Frankiowsk. Przed wojną każdego lata przebywałem tam na wakacjach. Tam mieszkała moja babka, tam matka i ciotka spędzały dziecięce lata.

Ostatni raz byłem w Wojniłow w lipcu i sierpniu 1939 roku. Miałem wówczas lat dziesięć, ale do dziś pamiętam dramatyczne sceny, które rozgrywały się na dworcach kolejowych w dniach mobilizacji. Plac kobiet ukraińskich, urywane słowa pożegnań. Szli młodzi chłopcy do wojska żeby walczyć nie o swoją ojczyznę, dramat więc był tym większy. Ale w niecałe dwa lata później faszystowska lawina zwała się i na ukraińskie, i na białoruskie, i na rosyjskie ziemie. I na tych ziemiach Hitler polamał sobie zęby. I z tych ziem przyszło do nas wyzwolenie.

Truizmy. Słowa się wycierają, ale teraz, gdy jadę „Wolga” wypożyczoną z „Inturistu”, wracam myślami do pamiętnego sierpnia. To było prawie 34 lata temu...

Towarzyszy mi Roman Fedorów i jego „drużyna” — Lidka, Kierunek — Stryj i Kalusz. Znałem te miasta ze słyszenia, ale nigdy w nich nie byłem. Z Kalusza do Wojniłowa jest tylko 14 kilometrów, ale autobus nie łączy tych miejscowości, trzeba się było dwie godziny tłuc wynajętą furmanką. Kosztowało to grosze, bodaj dwa złote, ale na tych ziemiach, gdzie bieda aż piszczała, każda moneta znaczyła podwójnie. Pociąg dojeżdżał do Martynowa — małej stacji, stąd końmi kilkanaście kilometrów, a po drodze przeprawa promem przez Dniestr. Mostu nie było, jak i innych większych czy mniejszych inwestycji.

Wyprawa do Wojniłowa to wyprawa do lat mego dzieciństwa. Jak ujrze tę wioskę dzisiaj, jaka widać mi się rzeczka, w której codziennie się kąpałem? Adres mam jeden: moja ciotka koresponduje ze starą znajomą, która niegdyś bawiła jej bratanicę.

Mijamy wieś i miasteczka. Szosa jest na ogół niezła, choć chwilami kamyczki uderzają o szyby.

Na granicy województw lwowskiego i iwanofrankiowskiego Fedorów zatrzymuje samochód. Z prawej strony las, ale część drzew rośnie półkolem. W środku kamień z nieco zatartym napisem. Wokół niego małe kępki trawy. Jak się okazuje, jesteśmy na małym omentarzu powstańców polskich z 1832 roku, którzy wystąpili przeciwko Austriakom. Tutaj rozegrała się bitwa. A drzewa zataczające półkole zostały zasadzone właśnie ku pamięci o tych wydarzeniach. Mają 120 lat...

Granice województw zaznaczone są bardzo dokładnie. Obelisk, wielka mapa przedstawiająca w różnych kolorach poszczególne powiaty. Podoba mi się to. Zwłaszcza dla cudzoziemca jest to rzecz interesująca. Przypomniało mi się, że gdy niedawno jechałem z Lublina do Przemysła, nie zauważyłem nawet najmniejszej tabliczki, która pokazywałaby granicę województw. Dopiero na mapie znalazłem rzeczkę, która tę granicę stanowi.

Ale jedziemy dalej. Na moment wступujemy w Kalusz. Powiatowym miście, do domu towarowego. Fedorów kupuje jakieś drobiazgi, o które trudniej we Lwowie, a także pokazuje mi jakąś kapę, której we Lwowie nie uświadczysz. Sytuacja podobna, jak w Polsce: niekiedy w miście powiatowym kupisz to, czego nie dostaniesz w stolicy województwa. Dom towarowy jest nad podziw dobrze zaopatrzone.

Do Wojniłowa już kilka kilometrów. Poznaje starą cerkiew drewnianą, zabytek architektoniczny, takie cerkwie są pod specjalną ochroną i — nawet jeśli nie są czynne — nie wolno ich rozbierać.

Znajomej ciotki nie ma w domu, wita nas osiemdziesięcioletnia starszuszka, bardzo gościnna. Na ścianie święte obrazy, ale gdzie im tam do ikon! Już nas chce częstować zsiadłym mlekiem, ale śpieszymy się.

— Wy dobrze mówicie po ukraińsku — zwraca się, również po ukraińsku, do Fedorowa. Ten śmieje się serdecznie:

— Toż ja Ukrainiec, jak mam mówić?

Starszuszka miesza słowa polskie i ukraińskie, ale mnie rozumie bardzo dobrze.

Dokończenie na str. 8

**M**IESZKAŁEM wtedy w domu akademickim przy placu Narutowicza w Warszawie, który wraz z kilkoma innymi akademickimi, męskimi i żeńskimi, tworzył Fundację Domów Akademickich. Mieszkałem za darmo w jednosobowym pokoju, co było formą zapłaty za redagowanie miesięcznego biuletynu, dostarczającego wszystkim mieszkańcom. Studiując w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, pracowałem już zawodowo w dziale miejskim popołudniówki „Dobry Wieczór Kurier Czerwony”.

W teje popołudniowce do moich obowiązków należało m. in. pisanie co dwa tygodnie „materiałów” z życia studenckiego. Najchętniej były widziane wesole felietony, np. o wsielcach — czyli tych, którzy po dwie godziny wisieli przy słuchawce telefonu, lub o portierze, który w każdej chwili wiedział, czy poszukiwany student jest w budynku i z kim, czy też wyszedł — i z kim. No ale z czasem tematy zaczęły się wyczerpywać i trzeba było zacząć nieco koloryzować, nie nazbyt jednak wiele, aby któryś z półtora-tysięcznej gromady mieszkańców akademika nie przysłał sprostowania. Pewnego dnia nie miałem już żadnego pomysłu. Wieczorem zjawilo się u mnie dwóch przyjaciół — M. Święcicki i K. Południkiewicz. W dyskusji narodził się pomysł, a rano tekst był gotowy. Redaktor naczelny był zachwycony i następnego dnia w „Kurierku” ukazał się dość długi tekst o rzekomym powstającej w FDA „Studenckiej spółce usług specjalnych”. Wywołał on nawet trochę szumu w redakcji i w drukarni, a mój bezpośredni zwierzchnik, red. Stefan Gostomski (mieszka do dziś w Warszawie), całą sprawę skwitował krótko: aleś pan zasunął bombę...

„Kurierek” ukazywał się w sprzedaży o godzinie trzynastej. Pół godziny później zadzwonił na moim biurku telefon, a w słuchawce odezwał się zbolany głos dyrektora FDA, Feliksa Dąbrowskiego:

— Panie Jurku, co pan narobił? Do mnie telefonowało już piętnaście kobiet...

„Studencka spółka usług specjalnych” (to czasy kapitalistyczne — spółdzielnie nie były popularne) miała się bowiem zajmować tym, co ludzie zawistni mogliby nazwać handlem żywym towarem (męskim), purytanie — ułatwianiem kontaktów damsko-męskich, a co my, pro-

jektodawcy, traktowaliśmy jako dobry kawał, przy skrupulatnym przestrzeganiu pewnych prawideł zaś za rzecz możliwą do zrealizowania i potrzebną najczęściej pustej kieszeni studenckiej.

Podobnie jak dzisiaj, i w przedwojennej Warszawie było więcej kobiet niż mężczyzn. Nawiazywanie znajomości pomiędzy przedstawicielami obu płci nie było tak ułatwione jak obecnie. W tej sytuacji pewna liczba partnera do kina czy teatru, na dancing, na partię brydża czy tenisa. Naturalnie i panowie mogli szukać czwartego, partnera na polowanie itp.

Do spółki mógł należeć każdy student po podpisaniu specjalnej deklaracji, która m. in. zabraniała mu spożywania alkoholu podczas spotkań i osiągnięcia jakiegokolwiek uboższych korzyści z nawiązywanych kontaktów. Kierownictwo sporządziło szczegółową kartotekę członków, obejmującą wszelkie możliwe dane: wiek, wzrost, tuszę, kolor włosów i oczu, znajomość języków obcych, uprawiane dyscypliny sportu, kierunek studiów, znajomość specjalnych zagadnień itp. Osoba zgłaszająca się do spółki mogła tak sformułować swoją ofertę: proszę o towarzysza do teatru znajomego twórczość Szekspira, ma to być wysoki brunet, szczupły, znający język francuski. Kierownik na podstawie kartoteki uzgadniałby kandydaturę i umawiał spotkanie — w biurze spółki lub gdzieś w mieście (w tym drugim przypadku ustalało się dokładnie znaki rozpoznawcze). Jakakolwiek skarga powodowałaaby dozwolone skreślenie z rejestru członków.

No i rzecz najważniejsza — finansowa. Osoba poszukująca towarzysza ponosiłaby wszelkie koszty — kawy, biletów, przejazdów itp. Niezależnie od tego student otrzymywałby wynagrodzenie: złotówkę za godzinę, przy czym każda rozpoczęta godzina liczyła się za pełną. Należność inkasowałby osobiście i potem dziesięć procent oddawał na rzecz spółki.

Cały pomysł polegał na tym, aby — jeżeli dojdzie do jego realizacji — stanowił dodatkowy dochód dla studentów. Ponieważ jednak zamiar

stworzenia takiej spółki nie został zgłoszony do żadnych władz, w teście znalazły się bardzo ostrożne sformułowania: „W domu akademickim przy pl. Narutowicza w gronie studentów powstał projekt... jeżeli spółka rzeczywiście działała, natychmiast poinformujemy o tym czytelników”.

Gdy dwie godziny później przyjechałem do stołki na obiad, w całym akademiku wrzało. Już w drzwiach jedni składali mi gratulacje, inni byli oburzeni. Na każdym piętrze założony bioku głównego jak i obu bocznych pawilonów były aparaty telefoniczne (z których jednak nie można było drzwonić do miasta, a jedynie odbierać telefon). Od półtorojej godziny wszystkie

# Studencka usługa

były zajęte. Kobiety z miasta drwoniły bez przerwy. Jak przebiegały rozmowy — nie mam pojęcia. Faktem jest, że przed aparatami ustawiły się regularnie kolejki i gdy pierwszy z niej umówił się, słuchawkę przyjmował drugi. Tego dnia chyba połowa studentów miała dodatkowe spotkania.

Ja osobiście udałem się do dyrektora, aby go ulagodzić, przedstawiając całą rzecz jako żart. Udowodniałem, że taki projekt rzeczywiście się narodził, bo przecież nas trzech to część akademickiej społeczności — ale nie na wiele się to wazytko przydało. Gdyby nie fakt, że dyrektorem należało jednak na dobrych stosunkach z pracownikiem najpopularniejszej wtedy popołudniówki Warszawy, pewnie musiałbym się szybko pożegnać nie tylko z redagowaniem „Biuletynu”, ale również z mieszkaniem. Zwłaszcza że także przez wszystkie telefony biur FDA zgłaszały się panie, poszukujące towarzysza koniecznego na dziś wieczór. No ale jakoś się upiekło, chociaż dyrektor Dąbrowski przez pewien czas dziwnie rzadko mnie zaważał.

Czas, oczywiście zrobił swoje i telefony poszukujące członków rzekomej spółki stawały się coraz rzadsze. Podobno kilka zawartych wtedy znajomości skończyło się małżeństwem, podobno w kilku innych przypadkach były grube nieporozumienia — ale o tym mówiono tylko na ucho i za nie gwarantować nie mogę.

Natomiast dla mnie osobiście sprawa miała niespodziewane zakończenie. Gdzieś po tygodniu od chwili ukazania się felietonu w „Kurierze Czerwonym” jeden z pracowników administracji, popularny wtedy Zdzisio, przyszedł do mnie z pretensjami:



Fot. archiwum

# Zazdrość

Maciej Podgórski

**M**ĘCZYZNA 52-letni, doktor nauk weterynaryjnych, na kierowniczym stanowisku w poważnym zakładzie pracy, członek rady zakładowej, „wzorowy pracownik i kierownik” — jak o nim napisali w oficjalnej opinii jego zwierzchnicy. „Pólsłówkami tylko napomykał o nieporozumieniach z teściami, o żonie zawsze mówił dobrze” — powiadają jego koledzy z pracy, jego znajomi. „Był dobrym studentem i spokojnym chłopcem” — twierdzą koledzy ze studiów, dzisiaj już profesorowie i docenci, z którymi nadal utrzymywał kontakty. „Dobry ojciec i kochający mąż” — mówi kuzynka żony. „Posiada opinię człowieka spokojnego, bardzo pracowitego, nie mającego skłonności do nadużywania alkoholu” — napisano w wywiadzie środowiskowym sporządzonym przez MO. Jak widać, w opinii społecznej człowiek ten funkcjonował w sposób wprost nienaganny.

Kiedy ten poważny mężczyzna, bo przecież nie lekkomyślny chłopczek, pojawiał się w środowisku swego zakładu pracy, a często przyjeżd-

dzał swoim nowym „Fiatem 125p”, albo spotykał się na gruncie towarzyskim z dawnymi kolegami ze studiów, nikt by nie przypuszczał, że serce jego draży robił zazdrości, ten przeklety moloch prowadzący człowieka często poza granice zdrowego rozsądku. I nikt by nie przypuszczał, że w domu rodzinnym tego człowieka istnieje piekło, które sobie wyszykowały cztery, rzekomo najbliższe, osoby. A zresztą gdzie zostało powiedziane, iż wzorowy pracownik nie może sobie wyszykować piekła rodzinnego, albo iż wysokie kwalifikacje zawodowe i prestiż społeczny potrafią go od tego uchronić? Nie wierzę po prostu w ludzi-monolity.

Dnia 16 września 1972 roku żona tego człowieka, doktor medycyny, pediatra, starszy asystent w odpowiednim Instytucie, składa w prokuraturze prośbę o przeprowadzenie z mężem „profilaktycznej rozmowy”, ponieważ ten od dłuższego czasu wywołuje awantury domowe, wyzywa i bije ją oraz jej rodziców, z którymi razem mieszka. Głównie są te awantury na tle — jak pisze żona — „urojeń męża i bezpodstawnego posądzania o zdradę małżeńską”. Ostatnio, kiedy ona pełniła dyżur nocny w swojej klinice,

wdarł się tam i pobił ją w obecności pielęgniarki, która może to potwierdzić.

Pielęgniarka, rozpytywana potem na okoliczność owego zajścia, zeznała, iż około godziny pierwszej w nocy ktoś zapukał do drzwi szpitalnych, ona otworzyła okienko i oto co ujrzała: „Zobaczyłam mężczyznę z oczami postawionymi w świątynie, z pianą na ustach, włosami w nieładzie, nie poznałam, kto to jest, ale ponieważ cały czas mocno stukał, przestraszyłam się tak, że mentalnie dostałam bólesci brzusza”. Okazało się, iż to mąż pani doktor, który wpadł do dyżurki, zbilił żonę po twarzy, skopał, zwrzymiał, wylamał drzwi do ambulatorium, szukając kochanki swej małżonki i krzyżąc przy tym: „Ja cię zabije, pozabijam wszystkich, twoich rodziców, do jednego grubu was zakopie”.

Zakład medycyny sądowej wystawił pobitej protokol badania sądowo-lekarskiego, w którym między innymi mówi się o stwierdzonym na lewym policzku podbiegnięciu krwawym wielkości 4 cm na 2 cm, o powiece górnej lewego oka obrzękniętej i lekko zsiniałej, o siniakowatym zabarwieniu skóry na czole wielkości 3 cm na 3 cm, o rozciętej wardze i obrzęku nosa, co w sumie spowodowało „rozstrój zdrowia na czas ponizej siedmiu dni”. To zaświadczenie uzyskała pani doktor zaraz następnego dnia po pobiciu, z samego rana. Tego też rana czatujący pod szpitalem mąż spotkał jej koleżankę, której oświadczył: „Żonę rozwođu nie dam, raczej ją zabije, albo zrobię z niej porządną kobietę, a nie k...”.

Lecz zanim ten protokół znalazł się na biurku prokuratorskim, zanim doszło do zeznań świadków, wpraw odbyła się profilaktyczna rozmowa w prokuraturze, na której to dyskurs pojawili się mąż i żona. Istnieje notatka urzędowa sporządzona w prokuraturze 26 września, z której wynika, że mąż odmówił wyjaśnień, głośno krzyczał, wychodził i wracał, trząskając drzwiami urzędowego pokoju, więc w końcu musiano go usunąć. Tak właśnie wyglądała „profilaktyczna rozmowa”.

Istnieje też inna notatka służbowa, podobnie sporządzona przez MO — że te pałdziernika funkcjonariusze musieli

interweniować w awanturze domowej u małżonków. Mąż wezwał stolarza i chciał wstawić nowy zamek u drzwi małżeńskiego pokoju. Żona wezwała milicję, ponieważ reszta rodziny, z wyjątkiem 16-letniej córki małżonków, która siedziała cicho, i 19-letniej córki małżonków, której nie było w domu, bo studiując w innym mieście, a więc reszcie rodziny nie podobaly się te stolarskie roboty, głównie zaś ojeńciełowi. Stolarz uciekł, milicja przyjechała i wpraw stawiała mebla do łóża wytrząsnąć, ale tam nie stwierdzono upojenia, więc milicja zawiozła oboje małżonków na komisariat, ponieważ trudno się było w tym wszystkim tak od razu na miejscu rozpoznać. Żona wyszła, a mąż siedzi. Różne potem były wersje tego zajścia — czy mąż kopnął teściu, kiedy interweniowała milicja, czy nie kopnął? W każdym razie teści krzyknął, że zięć kopnął.

Następnego dnia żona składa w prokuraturze ustne zawiadomienie o przestępstwie na ręce pani prokurator — że mąż wprawdzie wódki nie używa, ale się awanturuje i bije rodzinę z wyjątkiem własnych córek, że mąż grozi żonie mordem, oszczeniłem, oczernieniem, że gdy ona po awanturze w klinice przeniosła się do pokoju rodziców-dziadków, to on wyniósł i schował jej łapki karakulowe, namiot, dwa śpiwory, dwie pary jej spodni, jej prawo jazdy, wkładki paszportowe i bilety kolejowe oraz ukrył samochód „Fiat 125 p”, który figuruje na jej nazwisko. Po tym zawiadomieniu prokuratura wydaje postanowienie o tymczasowym aresztowaniu męża i wszczyna przeciwko niemu dochodzenie o zniechęcenie się moralne i fizyczne nad rodziną (art. 184 § 1 k.k.), kradzież cichów (art. 203 § 1, 3 k.k.), uniemożliwienie małżonce korzystania z samochodu (co wiąże się z art. 167 § 1, 2, k.k.). Mąż siedzi i na razie odmawia zeznań, twierdząc jedynie, iż żona podstawiła fałszywych świadków.

Niebawem prokuratura wnosi o zbadanie psychiatryczne aresztowanego. W rozmowie z lekarzami

mąż podał, iż od 1963 roku podejrzewa małżonkę o zdradę, kiedy to była w sanatorium, a on tam do niej niespodziewanie pojechał i zastał ją w nocy w pokoju jakiegoś obcego mężczyzny. Ponadto dostał anonim, iż podczas jej pobytu w Karłowych Varach ona go zdradzała, zaś w czasie nocnych dyżurów przyjmuje jakiegoś mężczyznę z Warszawy... Lekarze pytają jeszcze, czy był kochany przez rodziców w czasie swego dzieciństwa. Użytkują odpowiedź twierdzącą i wykluczają w ten sposób podłoże psychoanalityczne postępowania podejrzanego, kierują go na dłuższą obserwację psychiatryczną, żeby ustalić, „czy badany jest osobnikiem psychopatycznym i na podłożu osobowości nieprawidłowej występują u niego nastawienia urojeńowe, czy też jest to rozpoczynający się obłęd zazdrości”.

W czasie obserwacji psychiatrycznej mąż dodał jeszcze, że żona często wjeżdżała na noc do Warszawy, a raz to nawet ze swoją byłą sympatią, tylko że wtedy do niczego nie doszło, bo tamten był impotentem — jak wyznał później mężowi, który wówczas uderzył ją w siedzenie, ale jej przebaczył. Wtedy pod klinika zobaczył, jak s dziewczynki chylkiem wymyka się jakiś mężczyzna tylnym wyjściem. Dlatego zdenerwował i uderzył żonę, a raczej ją tylko lekko popchnął. Cichów jej nie zabierał, samochód zaś po prostu przenosił do innego garażu, bo tak wypadło, na co ma świadka, i wcale tego nie ukrywał. Istotnie — świadek, a potwierdził na rozprawie sądowej, przedtem u prokuratora, a podejrzany, następnie zaś oskarżony, do końca już trzymał się tej wersji.

Biegli psychiatrzy po wszechstronnym badaniu wykluczyli u podejrzanego obłęd zazdrości, czyli paranoję, przyjęli jedynie uczucie zazdrości. „Nie byłem zazdrośny o żonę, ale zachowywałem się jak mężczyzna” — twierdzi mąż. Biegli napisali: „Powtarzamy raz jeszcze, że nie interesuje nas, czy uczucie to było uzasadnione, do nas należy jedynie stwierdzenie, że nie miało

— Jurek, ja zwariuję. Jakas niewiasta telefonuje do mnie dwa razy dziennie pytając, czy ta spółka już istnieje czy nie. Zrozumię, przecież nie mogę się z nią umówić, bo dawni na telefon służbowy, a szlag mnie już trafia...  
— No to skieruj ją do mnie jako do organizatora. Będę dzisiaj o piątej po południu czekał, podaj numer pokoju, ale bez nazwiska.  
Minutę przed piątą uchyliłem drzwi na korytarz, aby nikt inny nie podjął słuchawki. Pół minuty przed piątą odezwał się dzwonek. Zgłosiłem się stereotypowym: „Proszę, tu dom akademicki”.  
— Proszę pana — przyjemny głos.

# spółka specjalnych

Jerzy Dostatni

sik nieco drżał z emocji, tak mi się przynajmniej wydawało — mnie tu skierował pan Zdzisław z administracji w sprawie... w sprawie tej... spółki. Bo ja... bo ja... ja chciałyby, to znaczy właściwie...

Muszę przyznać, że i mnie opanowało w tej chwili zakłopotanie. Bo niby co powiedzieć, jeżeli nie chce się być brutalnym — po prostu umawiając się na randkę na rachunek prywatny, bądź też wyjaśniając, że wszystko to jest nieprawdą? Ostatecznie przyznałem, że wprawdzie jestem, czy raczej byłem współorganizatorem spółki, ale ponieważ dyrekcja FDA nie chce się zgodzić na jej utworzenie, rzecz cała jest po prostu nieaktualna. Moja rozmówczyni była tym faktem mocno rozczarowana, powiedziała mi więc, że przecież młode i urocze dziewczęta zawsze znajdują sobie odpowiednio towarzystwo. Ciche westchnienie w słuchawce, a nawet coś jakby szelst przelkniętej lzy kazały mi mówić coś jeszcze. I w ten sposób rozmowa przeciągnęła się dość długo. Rzecz zrozumiała, że skończyła się propozycją spotkania — z ręką na sercu, że nie z mojej strony. Odpowiedziałem, że pracuję do godziny dwudziestej.

— A gdzie? — dopytywała się nieznaną.  
— W okolicy placu Zbawiciela —  
— Ach, to świetnie — usłyszałem.  
— A dlaczego świetnie? — zdziwiłem się.  
— Bo stamtąd... bo... bo nie...  
Po serii pytań okazało się, że z pl. Zbawiciela odjeżdża autobus do ul. Chełmskiej, gdzie właśnie mieszka moja rozmówczyni.  
No cóż, decyzja mogła być tylko jedna. Po oddaniu materiałów w redakcji pojechałem na ul. Chełm-

ską. Zgodnie z podanym szyfrem, na pierwszym piętrze zadzwoniłem raz długo i dwa razy krótko. Czułem się bardzo dziwnie. Kto mi bowiem otworzył, jeżeli w ogóle adres jest prawdziwy: podłotek o przemądrzelej twarzy, starszka z bardzo fonogenicznym głosem, mąż, który niespodziewanie powrócił z wyjazdu służbowego?

Najwidoczniej w głowie kobiecie po drugiej stronie drzwi też buszowały różne myśli, bo gdy tylko się otworzyły, nie myśli uchyliły — oboje zlustrowaliśmy się wzrokiem od góry do dołu i z powrotem. Wybuchliśmy śmiechem. To przelamało pierwsze lody i wbrew obawom, przynajmniej moim, dalsza rozmowa potoczyła się swawo. Półki były małe, tak jak dzisiaj M-2, urządzone przyjemnie, ale jakos smutno. Nie wiem dlaczego, ale takimi odniosłem wrażenie. Tym bardziej starałem się ów smutek przelamać rozmową, co było o tyle trudne, że wciąż musiałem się pilnować, aby nie zdekonspirować się jako dziennikarz. Przedstawiłem się po prostu jako student polonistyki, co zresztą odzwierciedlało wprawdzie z czasów przed-dziennikarskich. Siedzieliśmy grzecznie na przeciwległych krzesełkach tapczanu, popijając skromną herbatkę.

Po godzinie doszliśmy do przekonania, że właściwie lepiej byłoby pojechać do kawiarni Gajewskiego w Alejach Ujazdowskich, gdzie można potańczyć do północy. Ale wtedy wyłoniła się kwestia zasadnicza, o której już zdążyłem zapomnieć. Moja miła, ładna, chociaż o niezbyt zgrabnej figurze gospodyni przypominała, że zgodnie z projektem statutu „Studenckiej spółki usług specjalnych” ona pokrywa koszty przejazdu i pobytu w kawiarni. Aby zaś w lokalu nie czuł się zażenowany, już teraz wręcza mi 5 zł, a należność za moją asystę — po 1 zł za godzinę — ureguluje przed rozstaniem się.

Tak głupio nie czułem się nigdy w życiu. Wprawdzie dzięki pracy w redakcji czasy studenckiego głodowania miałem już poza sobą, ale przecież nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie, że mogę brać pieniądze za samą obecność — i to od kobiety. Zważała że ta obecność i mnie dawała dużo przyjemności — towarzyska była kulturalna, wykształcona, orientowała się znakomicie w tytu teatralnym stolicy, znała wszystkie najnowsze filmy, dużo czytała. Przez ładnych kilka minut musiałem tłumaczyć, mniej i bardziej rozsądnie, że nie jestem członkiem, a tylko współorganizatorem spółki, że pracuję i zarabiam, że... że...  
Tańczyła dobrze, ale jakby trochę nieobecna. Po drugim kieliszku wina usiłowałem, wbrew pierwotnym postanowieniom, nawiązać coś w rodzaju flirtu. Nic z tego nie wychodziło. Albo udawała, że w ogóle nie słyszy, albo kierowała rozmowę w innym kierunku.  
Minęła już północ, gdy wyszliśmy w słabo oświetlone latarniami i kłusującymi Aleje. Biegającymi wtedy środkami jeździ szynami przejechał pusty tramwaj, zgrzytem świrując ciszę tego pięknego wieczoru. I wtedy nagle uprzytomniłem sobie, że

Dokończenie na str. 9

charakteru urojenia. I dalej wyczuwając formułka: „Podejrzan jest zdrowy psychicznie. Był także zdrowy w czasie popełniania zarzucanych mu czynów. Mógł rozpoznać znaczenie czynów i pokierować swym postępowaniem”.

W niedużym mieście prowincjonalnym, gdzie rzecz ta się rozgrywała, teść podejrzanego, wtedy już na emeryturze, był długoletnim sędzią, a następnie jednym z wiceprezów sądu. Jest to tak zwany „dobry dom”, rodzina zasiedziała, z tradycjami inteligentnymi. Dwa fachu tu się liczą: prawnik i lekarz. Fachu dzielnicy. Znajduje sąsiadka rodziny: „Gdy córka sąsiadów wychodziła za mąż w 1950 roku, pan sędzia i jego żona nie byli zadowoleni, gdyż wymarzyli sobie dla córki innego męża, ten był po studiach, ale z biednej rodziny, nie miał jeszcze żadnej pozycji w życiu...”

Istotnie — oskarżony pochodzi z kresów wschodnich, z rodziny chłopskiej, która wyemigrowała na Ziemię Zachodnią, on zaś po maturze przyjechał do tego prowincjonalnego miasta, gdzie skończył studia i się ożenił z dziewczyną młodszą od siebie o siedem lat, panią z „dobrego domu”, która zresztą nigdy nie chciała się wypróżnić od rodziców, choć mąż nawet mieszkanie spółdzielcze załatwił. A potem cała czwórka uwikłała się w codzienne wojny domowe. A to że zięć trząsa drzwiami, a to że mój sędziowski wielekim zwierzem, w gaciach chodzi po mieszkaniu, nie tej tyki używa, nie spuszcza ciepłej wody po wytrześciu pierka gazowego, brudna bielizna w łazience zostawia, śpiewa, gdy teść śpi. Morderczyła walka podjazdowa, która wykończyła małżeństwo. A trzeba przyznać, że zięć krewki był i dłużym nie pozostawał.

Znajduje teść-ojciec: „Na żonę oskarżony zawsze mówił stara k... na mnie mówił ty stary pierdoła, dziwił się, że takie bydle mogło być prezesem. Nie parę lat temu chwyciłem sędzię, żeby wyszedł z kuchni, ale nie pobitem swego zięcia. Gdy zwracałem uwagę o gaz, to

trzymałem w ręku pogrzebac... Kiedy chodził w kałesoniach po mieszkaniu i ja mu zwróciłem uwagę, wtedy uderzył mnie w twarz...”

Zeznaje sąsiadka: „Opowiadała córka pana sędziego, że jest bardzo zadowolona z pobytu w Karłowich Varach, że było jej bardzo wesoło, że jest tak zaangażowana, iż jej spółdniczka spada. Ja powiedziałam, że powinna powiedzieć mężowi, a ona powiedziała, że teść na nią spojrzę za dziesięć lat...”

Podczas badania psychiatrycznego lekarze wykryli u podejrzanego „cukrzycę powikłaną kwasicą” i postawili wniosek o natychmiastowe umieszczenie chorego na wydziale chorób wewnętrznych, co też uczyniono. Następnie miejscowa prokuratura uchyła wobec niego areszt tymczasowy ze względu na stan zdrowia oraz dlatego, że „częściowo ustaly przyczyny, dla których zastosowano areszt tymczasowy”. Samochód przekazano żonie do eksploatacji, ciuchy się znalazły gdzieś w garażu i za tapczanem, chociaż nie wszystkie podobno.

Akt oskarżenia zostaje sporządzony na początku tego roku, aczkolwiek już przez innego prokuratora. Rozprawa przed sądem ciągnie się jednak długo, ponieważ adwokat oskarżonego łamie nogę i pisze do sądu, prosząc o bezterminowe odroczenie rozprawy. „Sprawa niniejsza jest sprawą, w której większość miejscowych adwokatów nie podejmuje się obrony oskarżonego ze względu na jego koligacje rodzinne”.

Adwokat choruje. Oskarżony choruje, ale pisze do Prokuratury Generalnej skargę. Pod koniec maja tego roku otrzymuje odpowiedź: „Decyzja Prokuratury Powiatowego o zastosowaniu wobec obywatela środka tymczasowego była niesłusz-

na. Postępowanie przygotowawcze nie dostarczyło podstaw do oskarżenia obywatela o przestępstwa zęczenia się nad członkami rodziny obywatela, o zmuszenie żony do zaniechania korzystania z samochodu i kradzież, w związku z czym akt oskarżenia wniesiony do Sądu Powiatowego w... ocenia się jako niezasadny. Wobec takich stwierdzeń zostało wydane polecenie zobowiązujące do odstąpienia od oskarżenia obywatela... Przepraszam obywatela za wyrządzoną krzywdę przez organ podległy Prokuratorowi Generalnemu PRL”.

30 czerwca oskarżyciel publiczny zrzeka się oskarżenia. Obrona oskarżonego, już zdrowy, wnosi o umorzenie postępowania. Sąd postanawia prowadzić sprawę w dalszym ciągu, albowiem zarzeczenie się oskarżenia nie wiąże w tym przypadku sądu, który mógłby nawet wydać wyrok skazujący, choć w takim układzie raczej rzadko to się zdarza. Sąd wydaje wyrok, mocą którego oskarżonego od dokonania zarzucanych mu czynów uniewinnia, a kosztom postępowania obciąża skarb państwa”. Mąż niebawem wytoczy powództwo cywilne przeciw skarbowi państwa o odszkodowanie. Żona wyjeżdża na weekend do Wiednia, zaproszona przez koleżankę. Mąż, już zdrowy, opuszcza prowincjonalne miasto i udaje się do wielkiego miasta nadmorskiego, gdzie znajduje pracę na analogicznym stanowisku jak w mieście prowincjonalnym.

Podczas rozprawy teść-ojciec powiedział: „Jeśli nawet elegancki mężczyzna złapie na gorącym uczynku, to bierze rozwód, a nie bije jej...” I jest w tym racja, tylko gdzie dzisiaj szukać eleganckiego mężczyzny?

**JAZDA „Trabantem”**, prawie non-stop ponad 800 kilometrów, odbywa się bez sensacji. Wyjazd z Lublina wczesnym rankiem, o dziesiętnastej jesteśmy na miejscu, w Rewalu na wybrzeżu szecińskim. Żona, dwoje dzieci i ja. Zmordowani podróżą w upale, marzymy o jednym — o wygodnych łóżkach. Kierowniczka z punktu ma pretensje o spóźnienie: turnus rozpoczął się trzeciego, dziś jest czwarty lipca wieczór. Tłumacząc niezbyt wiarygodnie urzędniczo, że dopiero wczoraj, trzeciego, i to po południu uzyskaliśmy skierowanie. Pełnopłatne, po 840 zł od lebaka. Ona ma na wszystko jeden litanijny zaśpiew — nic mnie to nie obchodzi...  
Wreszcie jednak zabiera się do zakwaterowania. Żona z córeczką dostają miejsca w pawilonie nr 2, mój z synem kierują do DW z numerem 8. Pokoje są wieloosobowe. Lokatorami są samotni dorośli ludzie. Próbowaliśmy na miejscu znaleźć salowe, żeby się wreszcie zamieszkać i odpocząć. Na próżno. Wracamy więc do administracji domów wczasowych o wziętej nazwie „Radość”.

Nie ma tam już nikogo. Idziemy więc do stołówki. Za późno. Jest za dziesiątą dwudziestą, kolacje wydawane są tylko do dwudziestej. Królowe zza kuchennej ludy nie mają zamiaru zostawać przez nas ani minuty dłużej. Wyjaślamy, że jechaliśmy wiele godzin, że jesteśmy wykończonymi. Restauracji w tej dziurze też nie ma. Kawiarnia i danki owszem, bary z morzem wody owszem, ale restauracji czy jadłodajni nie było, nie ma i nieprędka chyba będzie. Ale kucharz z „Radości” też nie nie obchodzi, jaid pan, taki kram.

Głodni i znokautowani totalną niezyciowością, udajemy się ponownie na poszukiwania salowych. Bezskutecznie. Wreszcie pokatnie ustalamy pół-prywatny adres kierowniczkę owego wczasowego kombinatu o bezpretensjonalnej, nieprawdaz, nazwie „Radość” i pukamy trzostawie do drzwi. Wypada ona sama i na nasz widok dostaje gwałtowniejsze twarz niż niedzwoych wypeków na licu.

Oczywiście — ja nic nie obchodzi. Swoje, uważa, zrobiła, regulamin to ona zna. Przepisy są przepisami, amen.

Tymczasem odnalazła się, i to sama, salowa. Niestety, z ósemki. Dopada nas w drodze od Annasza do Kaifasza i konspiracyjnym szepciem informuje, że pod szóstką zamieszkała w takim pokoju rychnych dla naszej rodziny pewna pani i kierowniczka jakoś nikogo tam nie dokwaterowała, ja tam nie mówię, ale...

Napomykamy kierowniczkę o tym nazajutrz.

— Broń Boże, nieprawda to jest. Ktoś nagadał, ja nikogo nie wyróżniam, jaki miałabym w tym interes?

\*\*\*

**Słońce.** Tysiące ludzi smaży się na rozpalonym piasku plaży. Bordowa skóra nowicjuszy z dopiero co rozpoczętych turnusów i oliwkowo-brązowa tych, którzy finalizują swój dwutygodniowy raj za trzysta — czterysta złotych. Nuda. Wizualne polowanie zdobyczy na wieczór. Maleńka gielda taka. Kto ma większy biceps, która jedrniejszy biust i uda, cieńszą talię. Wszystko bez rozpedu wszakże, aczkolwiek panie wykazują zdecydowanie większą inicjatywę.

Dzieci są piękne. Tylko one (no, może jeszcze kilka szczególnie urody dziewcząt, plązowych primabalerin, świadomych swoich przewag). Brzdące moczą fale, przypięzione w słońcu pupule w falach i zawzięta budują zamki z piasku. Ich wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, a pyzate buźki przyoblekła powaga i wyraz natchnienia. Na szczęście dorosli nie parują na plaży nago: byłby to

\*\*\*

Mam mnóstwo czasu na refleksje. Od lat jedenastu niezmiennie wakacje spędzałem nad naszym morzem, wedle piosenki, morzem (nieodwołalny imperatyw laryngologa, usiłującego bez skutku zresztą wyleczyć żonę gardło). Byłem kolejno w Międzyzdrojach, Mielnie, Darłoku, Lebie, Orłowie (dwukrotnie), na Helu (również dwa razy), w Jarosławcu (obecnie w Rewalu). Mam więc niezłą orientację zarówno w czasie jak i w przestrzeni.

Jakie widzę zmiany? Hociśowie zmiany są duże, dostrzegalne gołym okiem. Jarosławiec czy Rewal w sezonie dosłownie pękają w szwach. Periodycznie co dwa tygodnie przewala się przez te wiosczyny po siedem — dziesięć tysięcy ludzi. Tłoczą się jak przysłowiowe śledzie w beczce. Na plażach ścisną się mniejszy niż w ekskluzywnym Sopocie. Wszędzie kolejkę. Po mleko i papierosy, po wódkę i do smażalni ryb. Zaopatrzenie zle. Ludzie są zdezerwowani, kłótniwi. Przybyły i tu bylecy. Antagonizmy wybuchają z byle powodu i zgola bez powodu. Nawet ewidentny interes nie jest w stanie niczego zahamować.

Jeszcze przed ośmioma laty można było znaleźć miejsca, w których rzeczywistość nierzeczywistość: duża takich miejsc na wybrzeżu już nie ma. Za masowością daleko w tyle pozostał komfort, ba elementarne wygody należne drugiej połowie XX wieku. Prostość, kontakt z nieskazitelną naturą zatopiony w masie wleku setek tysięcy turystów i, jak dotąd, nie dostrzegany ekwiwalent jakościowego w postaci postawionej na właściwym poziomie infrastruktury i usług.

Kolejna różnica: na plażach, zwłaszcza w ostatnich latach, coraz więcej robotniczych rodzin (dominują zdecydowanie Ślązacy). Nudzą się, kina, zalewają robaka i wracają do swoich zakładów i miast z westchnieniem ulgi. Często dwa, trzy dni przed końcem turnusu. Żeby uniknąć szczególnie uciążliwego na przesłone wczasowych setafet piękła przesłone portajem do Nowej Huty, lubelskiej FSC przy chełmskiej cementowni.



Pewne rozgoryczenie autora „Samej radości” wzięto się zapewne stąd, że na plaży w Rewalu nie mógł zobaczyć takich właśnie widoków...

# Samej radości

Stanisław Harasimiuk

narzbyt często widok wręcz nie do zniesienia, myślę przy okazji refleksji nad bledami naszej kuchni i brakiem kultury fizycznej. Więc — dzieci są piękne...

Woda natomiast zimna i brudna. Bałtyk z każdym rokiem bardziej zanieczyszczony i śmierdzący. Ale nie to — dziś sprzedają bilety na wieczorek zapoznawczy. Bawią się wszyscy z 13 domów i 8 pawilonów, administrowanych przez „Radość”. Kulturalno-oświatowy, dorabiający w wakacje, śmiertelnie zmęczony długowłosy student zapowiada niebywale atrakcje.

Na zapowiedziach się skończyło. Nie dopisała frekwencja. Gremialnie za to przyszły panie w pewnym wieku. Więc kaowice opowiadał dowcipy. Kiepskie. Przeważnie z broda do samych pięt. Dłętwa i nuda towarzyszyły agonii tak pięknie zapowiadającego się wieczoru.

Jestem już zaaklimatyzowany, rasowy wczasowiec: tracę rachubę dni. To samo słońce, to samo lodowate, brudnawe, z zapaszklem morze, ci sami ludzie, a raczej te same ciała, niemilostnie skwierzące się w niezmiennym spiekocie. Żeby choć deszcz, burza — byłoby jakieś godne uwagi wydarzenie, coś nowego, innego.

Szczególni fanatycy urlopowa nudę próbują zabici wędkowaniem. Jest to zajęcie idealnie bezinteresowne, nikomu nie udało się złowić najmniejszej rybki, nikt nie miał nawet brania. Rozsądniejsi radzą sobie jak mogą. Oglądają w klubie non-stop telewizję, grają w brydża, uprawiają inne gry, najwięcej seksu, alkoholizują się zapamiętale. Małżeństwa, niestety zresztą, są z góry skazane. Na siebie. Na bliźniacza, jałowa codzienność.

Uplywa już dziesiąty dzień naszego wyjazdu. Zorientowałem się z kwitków obładowych, przy stole, na którym nieśmiertelna owocowa (regularnie z muszkami, robaczkami, tłuczonym szkle) i obrzydliwy mielony, z wczorajszych resztek zapewne. Dzieci, żona i ja pokryliśmy się nowym naszkorkiem. Tyle naszego — za 840 złotych polskich na twarz. Plus 3500 zł innych wydatków ogółem. Razem 6960 zł za niespełna dwutygodniowe w naszym przypadku wczasy bez wygód i bez szans na prawdziwy wypoczynek.

\*\*\*

Dziś, kogo na to stać, wyjeżdża własnym samochodem z własnym — jeszcze drugi! — sprzętem gdzieś w rzędy odziedle i faktycznie odpoczywa na łonie nie skażonej przez człowieka natury. I tu dysgrewa: przez Polskę ciągnie wiele rodzin urzędniczych i robotniczych z NRD — własnymi samochodami, ze swoim sprzętem. Dla Niemca z NRD wczasy w Polsce są najtańsze i bardzo atrakcyjne. Rozmawiałem z kilkoma z nich: ich przemysł produkuje wszystko: przycepy campingowe z namiotowymi przystawkami o komfortowym wyposażeniu, z wielofunkcyjnymi kuchniami, lodzicami, kajaki, łajby z przyczepami napędem, wszelki inny sprzęt. Wszystko jest tanie w obsłudze, funkcjonalne, trwałe. Niedrogie. Łatwo dostępne, produkowane w dużych, sprawdzonych seriach, sprzedawane masowo na bardzo dogodnych warunkach kredytowych.

Dziś, kogo na to stać, jedzie po prostu w Polskę. Z pełnym portfelem. W poszukiwaniu prywatnej kwatery za 2-4 tysiące, z pełnym, z prawdziwego zdarzenia wyżywieniem 100-200 zł od osoby dziennie, z możliwością wypoczynku na uboczu, z dala od ścisłu, którego na co dzień mamy aż nadto.

Nie stać mnie na zagranicę, na własny sprzęt, na prywatną kwatere z domowymi obiadami. Nie stać na to również pana Nowaka i pana Kowalskiego. Ale ja i panowie Kowalski z Nowakiem też chcielibyśmy raz w roku trochę odpocząć. Od miejskiego zaduchu, smrodu i zgiełku. Od tłumy, ścisłu, kolejek i konfliktów. Na łonie natury. FWP, nawet przy pełnej odpłatności, niestety odpoczynku takiego nie gwarantuje, co stwierdzam autorytatywnie jako wlewny z konieczności klient Funduszu Wczasów Pracowniczych od lat jedenastu.

Plaża w Rewalu, lipiec 1973

Kamena str. 7

# Powrót do dzieciństwa

Dokończenie ze str. 6

Zgłodnieliśmy, więc Fedorów prosi na obiad. Nie wiem, czy ten budynek istniał przed wojną. Wchodzimy na pierwsze piętro, bo tutaj mieszkał gospodarz. Posilamy się znakomitym barszczem ukraińskim i klopsikami. Wszystko tu smakowało tanie.

Ale oto odszukuje nas wnuk staruszek, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Przez moment dech mi w piersi zatyka, bo ma on na sobie niebieską koszulę z emblematem FDJ na rękawie. Myślałem, że to jakiś młody obywatel NRD!

Z rynku idziemy nad rzekę, ale po drodze mijamy stary cmentarz. Wzruszony stałem nad grobem mego dziadka, ojca matki, który zmarł rok przed moim urodzeniem. Rzucałem na grób polne kwiaty. Murowany pomnik lekko się przechylił, ale mój nowy znajomy, którego na świecie nie było w 1939 roku, gdy ja tu byłem po raz ostatni, odnowił go, pomalował niebieską farbą. Ile jeszcze lat przetrwa, zanim się całkiem zawali?

Kilka kroków wśród lnu, pszenicy i kartofli — i przed nami Siwka jak na dłoni. Wije się piękna wstęga, wcale nie taka mała, jak myślałem. Wydawało mi się, że będzie ona duża dla małego chłopca, a teraz — struga po latach. Nie, ale może dlatego, że ostatnio padały tu ulewne deszcze, jeszcze dzisiaj widać zalane wodą łąki.

Nie schodzimy ze skał na dół, bo i tak kapać się nie będziemy. Utrwalam na taśmie kolorowe ten krajobraz, nie wiem, czy tu jeszcze kiedykolwiek powrócę. A chciałbym w tym spokoju spędzić ze dwa tygodnie z dala od miejskiego gwaru, pijąc zsiadłe mleko z mamaligą... Może za rok, dwa...

Wojniowski znajomy (przepraszam, ale zapomniałem jego imienia) koniecznie chce mi coś dać na pamiątkę w rewanżu za mój drobiazg, zaprasza do gospody na kieliszek, ba — prosi, aby przyjechać do niego do domu, żeby... przemocować. Gościnność staroukraińska nie ustępuje staropolskiej. A dom ma nowy, mury, niedawno postawiony. Pracuje w warsztacie remontowym i nieźle zarabia. Był w Polsce w rodzinie. W rodzinach ukraińskich i polskich często zanikały granice narodowościowe, jedni żenili się z Ukrainkami, drugie wychodziły za mąż za Polaków i odwrotnie, a narodowość dzieci zależy dziś niejednokrotnie od miejsca zamieszkania, bo procesy integracyjne są nieuniknione.

Ciepłe uściski pożegnalne. Wracamy inną drogą, właśnie przez ów Martynów, a przedtem przejeżdżamy przez most na Dniestrze. Most stoi na miejscu dawnego promu. Rzeka jest ciemna po ostatnich deszczach.

Przedtem jeszcze Fedorów pokazuje na horyzoncie ogromne kominy:

— To jedna z największych na Ukrainie elektrowni. Jej też przed 34 laty nie było...

Znow zaproszenie, tym razem do domu Romana Fedoriwa. Ciekaw jestem tego mieszkania, bo już coś o nim słyszałem. Pokój, w którym Fedorów pracuje, to właściwie nie pokój, ale małe muzeum ikon i starych kafli sprzed stulecia. Piękne duże biurko, nowoczesne regały, na których każda książka jest dokładnie widoczna. Ale mnie przede wszystkim interesują te ikony, od samego patrzenia aż dech w piersi zamiera. Irek Kamiński — myślę — popłakałby się z radości.

— Dam ci jedną ikonę; — mówi Roman, ale obaj wiemy, że nic z tego, skarbów narodowych przez granicę przewozić nie wolno, w jego ofercie widzę jednak jeszcze jeden wielki gest przyjaźni. Przyjmuję drobniaki, w tym sznur sztucznych pereł dla żony, współczesny obrazek do powieszenia na ścianę, a potem wspólnie zajadamy się, a właściwie obieramy się specjalnie przygotowanymi przez panią domu. I pijemy wódkę zaprawioną ruskim balsamem.

— Kto coś takiego pije? — powie jutro Taras. — Po tym głowa tylko boli. Ot, czysta wódka, to jest napój bogaty!

Następnego dnia kolejna gościna, tym razem w domu Romana Lubkińskiego. Dom jest nowy, choć daleko od miasta położony. Trzy pokoje, w pokoju pana domu znow

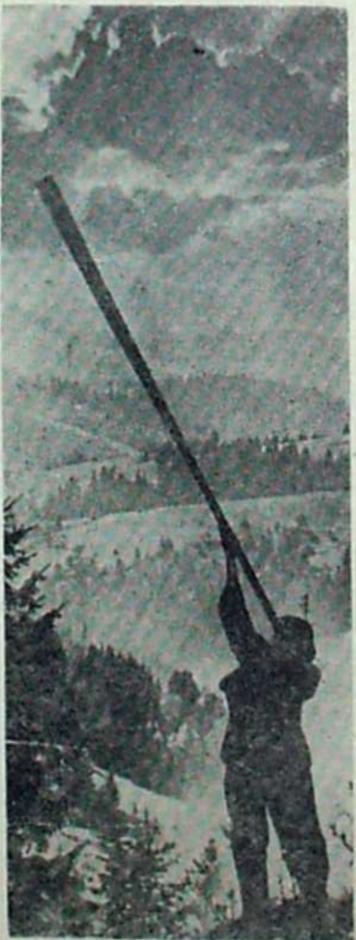
pełno książek, wiele — jak na tłumacza przystało — w języku polskim.

Już nie będzie o jedzeniu, bo to zacznie się stawać nudne, ale o... Grześkowiaku, który tu na płycie zawędrował. Tak, Kaziu, nie bujam, jesteś tu bardzo lubiany, a twoje piosenki znają na pamięć. Ciesz się: dla piosenki nie ma granic!

Ale o Romanie Lubkińskim muszę i coś poważniejszego napisać. Właśnie wręczył mi piękną antologię — „Słowiańskie niebo”. Zawiera ona jego przekłady z poezji rosyjskiej, białoruskiej, polskiej, bułgarskiej, serbo-łużyckiej, z poezji narodów Jugosławii. Piękny przykład słowiańskiego internacjonalizmu, a jednocześnie bezmiar pracy. Z przyjemnością znajduję w tym tomie i przekład wiersza mego ojca. Niejako rewanż, bo z kolei w dorobku ojca są też i przekłady poezji Romana.

Roman przygotowuje mi teraz całą listę książek polskich, bardzo chciałby je mieć w swojej bibliotece. Obiecuję poszukać, ale gdzie ja ci znajdę słownik pijacki Tuwima? Sam to w swoim czasie przegapiłem, a potem szukał wiatru w polu!

W sobotę relaksowo jedziemy obejrzeć zamek w Oleku. Tu urodził się król Jan Sobieski. Zamek był nieco zdewastowany, lecz za jego odbudowę wzięto się solidnie. Jeszcze nie wszystko gotowe, ale na ścianach interesujące płótna związane z okresem życia wielkiego króla i znów ikony, ikony... O jednej z nich mówi Fedorów, że warta jest nie tysiące, ale miliony rubli. Aż dziwi bierze, że nie jest strzeżona przez pułk gwardyjski, ale przy takim założeniu na Wawelu trzeba by postawić całą armię WP!



W Karpatach... Fot. W. Siliń.

To żarty, oczywiście. My tu gadu, gadu, a zbiera się na burzę i to jak! Błysk i piorun. Błysk i piorun. Coraz bliżej. Wychodzimy na dwór. Niebo czarne, jak smoła. Nic nie będzie z pikniku, który chcieliśmy przygotować w parku. ulowiwszy przedtem rybek w stawie. Ale miejscowa gospoda niedaleko, tylko że leje już, jakby się niebo urwało.

Przyszło, minęło. W powrotnej drodze zatrzymujemy się na moment przy rezerwacie jeleni. Ktoś nieśle chleb, aby nim karmić zwierzęta. Ludzie tu bardzo kochają różne czworonogi. Lubkiński wybrał połówkę bochenka. Gwizd, jelenie już są przy siatce drucianej. Co za okazy, co za rog! Zadna żona, choćby się całe życie mocno starała, takich nie potrafiłby mełowi przyprowadzić!

Znow śmiech, ale kobietom nie do śmiechu, bo komary tną jak diabli. Na ramionach, na nogach bąbel koło bąbla. Biedne jelenie, jeśli i im komary dadzą radę...

Marek Adam Jaworski



Michał Królewski i jego rówieśnicy w czasie demonstracji przed redakcją „Playboya” w Chicago.

# Rzecz w uczuciu a nie w gębie...

Dokończenie ze str. 1

nika „Pokój” i kierownik Biblioteki im. Adama Mickiewicza. Przyjechał na czele trzydziestoosobowego zespołu taneczno-wokalnego, zaproszony na dwa miesiące przez Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

Ma niespełna dwadzieścia cztery lata, a pasję do pracy i inwencji za dwudziestu czterech ludzi. Nauczyciel z zawodu, menadżer z bożej łaski! Głowa amerykańska, temperament polski!

Pięć lat temu, jeszcze przed pierwszym wyjazdem nad Wisłę, postanowił zorganizować polski zespół folklorystyczny. Zdołał zgromadzić wokół siebie sześciu entuzjastów „przedświątęła” oraz „kapitał zakładowy” w wysokości „30 dolarów. Działalność Polsko-Amerykański Teatr Folklorystyczny ma w banku 4 tysiące dolarów oraz własny dom-swiecillec.

W Lublinie dzień pracy zespołu jest wypełniony zajęciami od rana do wieczora. Przed południem — cztery godziny próby; tańce lubelskie i rzeszowskie. Po obiedzie — dwugodzinny lektorat języka polskiego. Potem zwiedzanie miasta albo wykłady z historii i kultury polskiej. Wieczorem znowu próba. Wszystko pod okiem doświadczonych instruktorów.

W Detroit zespołu nie stać ani na wykładowców, ani na instruktorów. Michał Królewski studiuje więc podręczniki tańca ludowego, śleczy nad przysłanymi z Polski nutami, nad zbiorami ludowych pieśni. Rano i po południu członkowie zespołu pracują w fabrykach, inni tkwią w szkole albo na uniwersytecie; wieczorami, trzy razy w tygodniu, biegają na kilkugodzinną próbę do swojego domu-swiecillec przy Fenelon Street. Bywa, że spotykają tam przybysza z Polski, jak na przykład owego Górala spod Zakopanego odwiedzającego rodzinę, którego Królewski namówił na współpracę i który z całym samozaparciem uczył młodzież „drobionego” oraz pokiwanie juhasów.

Czym jest właściwie Polsko-Amerykański Teatr Folklorystyczny? W jego ramach mieści się — najbardziej eksponowany — zespół taneczno-wokalny, działający raczej od przypadku do przypadku teatrzyk dramatyczny, działalność wydawnicza („czasopismo „Pokój”) i oświatowa (zorganizowana przez Królewskiego Biblioteka im. Adama Mickiewicza oraz nauczanie języka polskiego w „Szkoła Piastowska”). Czy Teatr jest organizacją społeczno-kulturalną, spółdzielnią, młodzieżową „komuną”, swego rodzaju „przedsiębiorstwem”? Wydaje się, że wszystkim po trochu. Ale przede wszystkim jest to samowystarczająca grupa młodych Amerykanów myślących w sposób nowoczesny, wykształconych i wybitnych kompleksów wobec anglosaskiej części społeczności amerykańskiej (co często cechuje pokolenie ich rodziców lub dziadków), poszukujących „dziedzictwa przodków” i niezradko łatwiej znajdujących wspólny język z mieszkańcami „Starego Kraju”, niż z przedstawicielami rodzimej, tradycyjnie myślącej Polonii.

Królewski zaczynał, jak się rzekło, z trzydziestoma dolarami. Już po roku rozkręcił interes na całego. Dochód z występów, organizowanych w bezpłatnie użyczonych przez polskich księży salach parafialnych, szedł w całości na konto bankowe Teatru. Dzielczeta z zespołu piekły ciasto i sprzedawały je na polskich kiermaszach. Chłopcy handlowali na ulicach cukierkami kupowanymi po cenach hurtowych w wytwórniach. Królewski potrafił oczarować jednego, drugiego i dziesiątego Polonusa, aby kapał z własnej kieszy po parę dolarów na rzecz Teatru. Z czasem zaczął dawać pewien dochód miesięcznik „Pokój”, redagowany społecznie przez grupkę entuzjastów (nakład 3 tys. egzemplarzy, cena 25 centów), no i opłaty za naukę w „Szkoła Piastowska” (pół dolara od osoby za lekcję). Poza tym każdy z członków opodatkował się dobrowolnie, stosownie do swoich dochodów, na rzecz Teatru.

W początkach sami szyli stroje regionalne, po kilku latach stać już ich było na zakup wielkości, kierpców, sukman w „Cepelli”. Gdy nie mogli znaleźć więcej tulaczki po cudzych świecillec, kupili zrzucony domek, sami go wyremontowali, a dzisiaj myślą już o nabytlu na raty dużego domu w samym sercu Hamtramack.

W ostatnim numerze „Pokoju” — pisma trochę jeszcze naiwnego, trochę zagubionego wobec problemów politycznych i społecznych wstrząsających światem, ale jakże silnie przepojonego miłością do wszystkiego co polskie — piszą w artykule wstępnym: „Onward youth of Polonia! We build for the present and the future! — Naprzód młoda Polonia! Pracujmy dla teraźniejszości i z myślą o przyszłości! Odrzućmy stare nawyki myślowe. Sięgajmy po gwiazdy nieosiągalne!” Co można też wyrazić inaczej: „Mierzmy siły na zamiary”!

Jak dotąd, hasło rzuczone przez Michała Królewskiego i jego rówieśników nie wydaje się głośliwe.

A oto inny członek Teatru — Wawrzyniec Chomiński. Jeden z najstarszych stażem i wiekiem w zespole — 26 lat. Absolwent slawistyki na uniwersytecie w Oakland. Znajomość greki, łaciny, języka polskiego, słowackiego, rosyjskiego i francuskiego. W Teatrze Folklorystycznym tańczy i śpiewa, w „Pokoju” redaguje dział literatury polskiej. Jego rodzina będzie wkrótce obchodziła stulecie przybycia na ziemię amerykańską. W domu język polski zanikł przed czterdziestu laty. Wawrzyniec z matką, ojcem i rodzeństwem może porozumieć się tylko po angielsku. Zresztą nie wydaje mu się to niczym specjalnie dziwnym. Tak samo jest w bardzo wielu rodzinach. I można również dobrze czuć się Polakiem ze znajomością jak i bez znajomości języka polskiego. Rzecz w uczuciu, a nie w gębie — powiada. Ale zaraz dodaje ze smutkiem: Mój ojciec należał do straconego pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia. On stara się za wszelką cenę być tylko Amerykaninem.

Wawrzyniec zwierował do zespołu Michał, zaraz poszła do wszystkiego to polskie. To dzięki Michałowi uległa fascynacji polskim folklorom Barbara Gronet i jej siostra Krystyna. Absolwentki gimnazjum św. Władysława, od kilku lat tańczą w zespole. Barbara zostaje na rok w Polsce. Chce nauczyć się trudnej sztuki koronkarstwa i haftu ludowego.

Inaczej z Wawrzyniec: Fundacja Kościuszkowska zaproponowała mu roczne stypendium na studia w Krakowie, ale Wawrzyniec chciałby odłożyć to na później. Zbyt wiele jest w tej chwili do zrobienia w Detroit — mówi. Rośnie w opinii tamtejszego społeczeństwa i nie możemy tego zaprzepaścić. Mamym już zespół, bibliotekę i własne pismo. Zaraz po powrocie zaczynamy czynić starania o zakupienie w miejscowej rozgłośni radiowej godzinowego programu. Na początek — raz w tygodniu. Będziemy w tym programie mówili o Polsce, Polonii i polkości. Jak my to wszystko widzimy.

Niektóre bardziej konserwatywne koła Polonii zarzucają im, że działają i wypowiadają się zbyt ostro, w sposób nieprzemysłany, na temat takich czy innych posunięć Polonii, na temat operowania jej majątkiem, że wywiekają te sprawy na widok publiczny. Ale mają też wielki krąg zwolenników. Szczególnie ich akcja gromadzenia książek dla Biblioteki im. Adama Mickiewicza, liczącej już 8 tys. tomów (polski dział Biblioteki Miejskiej w Detroit ma 10,5 tys. książek), spotyka się z ogromną życzliwością Polaków z zagranicy i z Polaki. Po apelu, jaki zamieścili w warszawskich „Perspektywach”, osoby indywidualne i organizacje społeczne, uczniowie, harcerze, nauczyciele, zaczęli ślać na ich adres setki książek. Mgr Danuta Kwiatek z Zabrze do paczki z książkami dołącza list: Drodzy Rodacy! (...) Jesteśmy pełni podziwu dla Waszego zapału, dla wielkiej sprawy jaką jest utrzymanie polskości na obczyźnie. (...) Jestem nauczycielką historii i mam sposobność wiele o Was mówić z młodzieżą, która bardzo interesuje się problemem polskiej emigracji. (...) O ile tylko będę w stanie w jakiś sposób Wam, Drodzy Rodacy, pomóc — proszę na mnie liczyć.

Felicja Kulakowska z Chicago: (...) Jeżeli Panowie której soboty zamierzają dłużej zabawić w Chicago, to proszę się ze mną skomunikować, bo moja przyjaciółka, pani Lydia Pucińska, będzie miała trochę książek i obiecała zapnumerować miesięcznik „Pokój”. Prawdopodobnie i pani Trzaskowska również prześle paczkę książek.

I wreszcie bardzo charakterystyczny list od Michaela Sydeka, pisany po angielsku: (...) Please, for the sake of our glorious forefathers... — zaklinam was na pamięć naszych sławnych przodków, na pamięć o przyszłych pokoleniach Polonii, nie traćcie nadziei, nie zrezygnujcie z celu jaki sobie wytknęliście. Wśród Polonii znajdują się ludzie oddani waszej sprawie bez reszty. Nadejdzie dzień, kiedy na terenie kraju (USA — przyp. M. D.) zaczną wyrastać organizacje podobne do waszej i wtedy wy staniecie się dla nich przykładem. (...) Jesteście „Światłem Nadziei” całej Polonii! Powodzenia!

W maju br. znany magazyn ilustrowany „Playboy” zamieścił ubliżający Polakom artykuł Bruce McCalla — „Poland's Sub Goes Glub”. 12 maja przed gmachem „Playboya” pojawiła się 24-osobowa grupa młodych Amerykanów polskiego pochodzenia z Michałem Królewskim na czele. Przyjechali tutaj z odległego o 300 mil Detroit, aby dać wyraz swemu oburzeniu. Chłopcy i dziewczęta ubrali się w regionalne stroje krakowskie. Przez kilkanaście godzin, nie zważając na złą pogodę i chłód, demonstrują milcząc przed wejściem do redakcji. Na transparentach, które przywieźli ze sobą, widnieją napisy: „My pokazujemy prawdę i wizerunek polskości”, oraz: „Polska kultura jest zbyt bogata, żeby ją można było zniszczyć”. Wśród przechodniów zostaje rozdanych 5 tys. ulotek protestacyjnych, wydrukowanych przez Teatr Folklorystyczny, do „Playboya” nadchodzi gruby plik listów oburzonych czytelników. Kilka dni później prasa i radio donoszą o katastrofie statku, wiozącego do Europy najnowszy numer „Playboya”. Cała przesyłka, 200 tys. egzemplarzy, ulega zniszczeniu: Michał Królewski nie może sobie odmówić malej złości: pisze do Hugh'a Hefnera, twórcy i redaktora naczelnego „Playboya”: Sam Pan widzi, że nie należy wyśmiewać się z Polaków ani lekceważać ich. Odczuł Pan na własnej skórze, do czego jesteśmy zdolni... Nawet na Oceanie osiągnięliśmy Pańskie „Playboya”.

Jeden z członków Teatru Folklorystycznego zwierzył mi się: Kiedy kilkadziesiąt lat temu moi chłopcy przodkowie wyrzucali z Polski w poszukiwaniu chleba, mieli przed sobą cały świat do wyboru. Przypadek zrzucił, że wybrali jako drugą ojczyznę Stany Zjednoczone. I teraz dręczę mnie myśl, czy tak naprawdę to ja jestem Polakiem. Amerykaninem zaś tylko przypadkowo?

Oto jedno z pytań, jakie zadaje sobie dzisiaj trzecie i czwarte pokolenie Amerykanów polskiego pochodzenia.

Mirosław Derecki

# Jeden przeciw...

**D**YREKTOR naczelny wyjechał służbowo. Zebranie na temat dyscypliny pracy postanowiliśmy odbyć w jego gabinecie, gdyż jest tam

telewizor.

— Absencja iczraza niepokojąco — zagaił wicedyrektor. — Dłużej tego tolerować nie możemy.

— Co prawda ostatnio jakby się nieznacznie poprawiło — dorzucił personalny. — Ale dziś za to, trochę tygodnia, nie żaden poniedziałek, a brak wyjątkowo dużo ludzi.

— Wina władz sportowych — powiedział kierownik zaopatrzenia. — Było do przewidzenia, że część kibiców pojedzie na mecz.

— Będzie zabawa, jeśli natkną się na dyrektora — wtrącił magister Zygmunt, asystent naczelnego. — Niech pan sobie za dużo nie pozwala, panie Zyziu — przywołał go do porządku wice. — A w ogóle, to czas włączyć aparat.

Ekran rozjarzył się i od razu zobaczyliśmy, że z naszymi jest kłopot. W tej sytuacji, przy jednym głosie sprzeciwu — głównej księgowej — odłożyliśmy obrady do przerwy.

— O.O. Dochodzą do siebie, jest szansa wygrania — po trzech kwadransach personalny zamknął fonię. — A co do dyscypliny: musimy powziąć jakieś wnioski.

— Tylko krótko i rzeczowo, żebyśmy nie zarwali drugiej połowy meczu — upominał wice.

— Może dać lepszą pomoc lekarską, to nie będą chorowali — zaproponowała socjalna.

— Niech mniej piją, a poprawi się zdrowotność — oświadczyła doktor Halina. — W niedzielę byłam z narzeczonym na dancingu, spotkałam pani zastępcę, ledwo trzymał się na nogach.

— Znowu jakiś narzeczony? — zdziwił się Zyziu.

— Proszę koleżeństwa, do rzeczy, do rzeczy. Zaraz będzie druga połówka — złapał się za głowę wice. — Poproszę o fonię i myślę, że trzeba zobowiązać dział personalny do wydania odpowiednich zarządzeń w sprawie wzmocnienia dyscypliny pracy.

— Jako prawnik uważam, że nie ma sensu wydawać nowych zarządzeń, skoro jest w tej sprawie dostatecznie dużo starych — zaoponował Zyziu.

— Kolego magistrze, gdybym trzymała się zarządzeń sprzed lat, w biały dzień nie trafiałabym do domu — pouczyła go księgowka. — Grunt to aktualność.

— I w razie kontroli zawsze możemy się wykaazać jakimś działaniem — dorzucił personalny. — Inaczej, jak udowodnimy, że myślimy o problemie?

— Sądzę, iż konieczność wydania odpowiedniego zarządzenia została uargumentowana — podsumował wice. — Jednocześnie dziękuję koleżce asystentowi za przedstawienie odmiennego zdania.

Po końcowym gwizdku sędziego rozbudziliśmy się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Nasi wygrali 1:0. Tylko doktor Halina była niezadowolona: w pewnym momencie kamera przejechała po trybunach dla publiczności, pokazując dyrektora naczelnego w towarzyszącym rudej Teresy, pielęgniarki, której ona nie lubi.

Starszy radca

Caius

**P**RZYSZŁA wtedy taka moda, że wszystkie kobiety zaczęły sobie same wiązać firanki z szwaskich nici. To był jakby powrotny powrót do chałupnictwa. Najlepsze firanki robiła żona Zdzicha, chociaż robiła je z przekleństwem dla swojego mistrzostwa. Cała rodzina chciała teraz mieć takie firanki, a Zdzichu miał liczną rodzinę i wcale nie był z nią najlepiej. Żona nie lubiła jego siostrzynek, szczególnie pyskatej Baśki, która zawsze miała to i owo niepotrzebne do powiedzenia.

— Wytłumacz jej, żeby tu w ogóle nie przychodziła — mówiła żona. — Nie chcę jej widzieć ani słyszeć jej języka.

Zdzichu nie lubił swojej żony jeszcze bardziej niż ona jego siostr, ale różnica polegała na tym, że żony się strasznie bał, nie bojąc się siostr. Dla świętego spokoju atakował siostry razem z żoną.

— Słuchaj — powiedziała matka, gdy jak zawsze przyszedł raz do niej wspominać dzieciństwo — twoja żona miała zrobić firanki dla Jadźki.

— Dla Baśki nie będzie żadnych firanek.

— Ale ja w ogóle nie mówię o Baśce, wiem, że jej nie lubicie. Baśce się takie firanki nie podobają. Ona mówi, że wcale ich nie chce. Jakby nawet mieli jej dopłacać, nie zawleci ich u siebie w pokoju.

— No więc Baśka firanek nie dostanie — Zdzichu upierał się przy swoim jak osioł. Wiedział, że wplątał się w głupią rozmowę, ale nie mógł odciągnąć się od tej Baśki, którą zniecierpliwiał dlatego, żeby skomplementować żonę. Jest wierny żonie i będzie tępił Baśkę na każdym kroku. Słowa małżonki zapadły w nim już tak głęboko, że nie mógł się nijak od nich oddzielić i upierał się dalej, wiedząc że wygląda jak dziecko.

— Baśka może sobie sama zrobić firanki. Ma kupę czasu i wielkiego lenia w sercu. Umie tylko gadać jak nikt inny. Niech milczy i robi sobie firanki.

— Zdzichu, ty chyba zgłupiałeś. Przecież ja jeszcze słowa nie powiedziałam o Baśce, a ty już się na nią rzuciłeś. Mówię ci, że ona naprawdę nie chce firanek. Nie wzięłaby ich nawet za darmo. To dla Jadźki mają być te firanki. Już się umówiły co do tego. Zapłaci jej tyle co w sklepie, a więc twoja żona zarobi tyle co sklep i fabryka razem.

— Jadźce może i tak, ale Baśka nie wchodzi w rachubę. Niech weźmie się w garść, przepędzi tego swojego cholernego lenia i tego gadanego, co jest jeszcze gorszy i niech sobie sama robi firanki, jak będzie jej mocno chciała.

— Tfu! Cholera! — krzyknęła matka. — U żony siedzisz pod pantoflem czy co?! Czego chcesz od Baśki? Niech sobie gada, jak chce. Meza gadaniem przepędziła, a nie was. Przecież to Jadźka chce mieć firanki, nikt inny.

Zdzichu to nawet Baśkę o wiele bardziej lubił niż tę wredną i nachmurzoną Jadwigę, ale musiał przeciw pamiętać o swojej żonie, która była najbardziej chytra, leniwa, nachmurzona, rozgadana i wredna ze wszystkich bab.

Nie mógł już słuchać tego, co mu matka trącała, a ona tak mu tłumaczyła:

— Czy ty już nie wiesz, na jakim świecie żyjesz? Ja o Jadźce, a ty o Baśce. Nie lubisz jej czy co? Zle jej życzyysz? Pod spódnicą siedzisz u żony i tyle.

Zdzichu się zdenerwował jak mało kiedy. — Dobrze — krzyczy — znowu się mojej żony czepiasz. Jak tak, to nie ma dla nikogo firanek. Ani dla Baśki, ani dla Jadźki. Możesz im to powiedzieć. Niech sobie kupią w sklepie. Jadźka tak zobaczy firanki jak i Baśka. Jedna jest drugiej warta. Moja żona nie będzie się dla nich ślepić po nocach.

Zdzichu spojrzął w lustro, podtrzymał siebie w stanowczej decyzji i poszedł do domu.

— Ty durniu — powitała go żona. — Dość już mam zatargów z całym twoim gniazdem. Przynajmniej z Jadźką trzymajmy sztafę. A poza tym miałeś obejrzeć nowego narzeczonego Baśki. Idź zobacz, który dureń idzie pod nóż.



Zdzichowi zrobiło się z kolei żal Baśki. Biedna rozwodnica. Właściwie cała wina była po stronie jej męża. Przed nowym konkurentem nie wolno prezentować własni rodzinnych.

Wrócił do rodziców, ale konkurenta jeszcze nie było.

— Nie się nie martwicie, Jadźka dostanie firanki. Moja żona na głowie stanie, ale słowa dotrzyma.

— Przekleńcie się, jak jeszcze raz usłyszę o firankach — wrzasnął ojciec, którego wszyscy, nawet własna żona, nazywali dziadkiem.

Zeby uspokoić cholerycznego dziadkę, zagrano w pokera na zapałki i dziadek obejrzał wszystkich do suchej nitki.

W końcu zjawił się i sam konkurent, cichy człowieczek wobec krzykliwej Baśki. Postawił pół litra jarzębianki, najwyraźniej stremnowany przed cholerycznym dziadkiem, który też z miejsca oznajmił, że nie będzie pił cudzej wódki. Jednak konkurent nie znał dziadka, bowiem ten po wypiciu swojego spirytusu zaczął sam rozlewać „cudzą wódkę”. Pomimo tego gestu, niewątpliwie przyjaznego, konkurent w dalszym ciągu najwyraźniej bał się starego despoty, który ze swojej strony, o dziwo, starał mu się przypodobać. Było to tym dziwniejsze, że swojego czasu przegnał już kilku konkurentów Baśki i ta

trzydziestoletnia rozwódka musiała gruchać z amantami pod płotem jak dziewczynka.

Z tym nieśmiałym narzeczonym wszystko było na dobrej drodze, ale nadgorliwy Zdzichu chciał jeszcze bardziej wyklarować sytuację i wraz ze swoim ptasim mózdzkiem przystąpił do zawilich dowcipów dziadka. A ten akurat żartował sobie z babki, że niby to zdradzała go kiedyś z jednym Ukraińcem. Zdzichu, najstarszy z rodzeństwa, natychmiast zaczął sobie przypominać tego Ukraińca. Kiedyś przyszedł wcześniej ze szkoły i zastał w domu tego Jagona. Innym znowu razem pomagał na matce rozwieszać bieliznę.

Zdzichu był przekonany, że syple świetnymi dowcipami na temat własnej matki, ale sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Babcia była bliiska płaczu, Baśka rozpaczliwie zerkala na sympatię, a wszyscy spoglądali to na dziadka, to na Zdzicha. Najgorsze było to, że Zdzichu nie potrafił przestać mówić. Z jego opowieści wynikało najwyraźniej w świetle cudzołóstwa babki. Jedynie dziadek bawił się znakomicie.

— Widzisz matka? Mam świadka. Troje dzieci masz z tym Ukraińcem, tylko Zdzichu, najmłodszy, katolik, jest mój.

Dowcip polegał na tym, że wyłączywszy Zdzicha trójka dzieci dziadka podobna była do niego jak trzy krople są podobne do czwartej kropli.

Zdzichu był wniebowzięty, że rozbałił dziadka i całe towarzystwo. Na swój sposób pragnął gorąco, żeby konkurentowi siostry było tu miło i wesoło i przyjemnie.

Tymczasem babcia odrzuciła od siebie pokusę płaczu i zhardtziawszy odpowiedziała, że nędzny to kot, co pilnuje jednej dziury. Wtedy to dziadek kazał swojemu głuptasowi natychmiast przeprosić matkę. Posłuszny czterdziestolatek wykonał, co mu polecono i zaczął zapewniać, że wszystko, cała ta ponura opowieść o Ukraińcu, była żartem. Potem dodał ni w pięć ni w dziesięć, że żona obiecała zrobić firanki również dla Baśki. Był teraz w takim nastroju, że firankami żony obdzieliłby chyba cały świat.

Baśka odetchnęła, a narzeczony uśmiechał się z zapałem, co też było dużym sukcesem. Dziadek powiedział, że w każdym żarcie jest połowa prawdy, podszedł do żony i zaczął ją głaskać po głowie. Stanowili teraz w parze piękny wzór dla Baśki, która zdążyła się już raz rozwieść i wielokrotnie pokłócić z różnymi amantami. Poza tym dziadek stanowił model patriarchy, który zdołał zapanować na głupotą syna, histerią żony i zapanowaniem całego towarzystwa rodzinnego łącznie z konkurentem, który też już był prawie z rodziny.

— Nie martw się — mówił do niego Zdzichu, widząc jego zawstydzoną minę — Baśka będzie miała firanki.

Nic wiadomo, czy narzeczony już wtedy lubił Baśkę, ale dziadek polubił najwyraźniej, bo mówiąc coś zwracał się tylko do niego. W ten zresztą sposób potoczyły się ich dalsze losy. Młody małżonek porozmawiać mógł sobie normalnie tylko z dziadkiem, gdyż każda rozmowa z żoną przemieniała się w awanturę, w której, o dziwo, on krzyczał najgłośniej. Ze złości raz o mało nie porwał posagowych firanek, bo żona Zdzicha dotrzymała obietnicy mężowskiej, co niech jej na zawsze zapisane będzie w niebłogosłach.

## POTYCZKI JEZYKOWE

### Walka z „nie”

**J**AKIEŻ znaleźć lekarstwo na te powtarzające się wciąż błędy! Tyle się o tym pisało, w „Kamieniu” już zaraz po jej wznawieniu, a i w innych pismach dbających o czystość naszej mowy, a wyrażenia: „jakby nie było” — wyplenić się nie dał.

Pokutuje ono na łamach prasy, w radiu i telewizji, w różnych wypowiedziach ludzi najbardziej od-

powiedzialnych, ba! znaleźć je można w książkach nie byle jakich pisarzy.

Oto kilka przykładów: u wybitnej powieściopisarki znajdujemy: „Jaki by nie był — szkoda”. „...bo jaką by nie była (...) dla siebie, on (...) ma o niej (...) rozeznanie najtrafniejsze, jasne”. „Wszyscy, gdzie by nie siedzieli dotąd w spokoju”. „Mowa ludzka, jakiej narodowości nie byłby ludzie, może się składać (...) z niewielu słów”. „Jakby nie

było” — w felietonie jednego ze znanych autorów (Nr 7 „Polityki” 1970), ba! stały poeta z ostatniej str. „Przekroju” (1 lutego 1970) pisze, że „wsio, co by nie było, tańczy się w jegerach”. W przekładzie powieści Priestley’a „W starym kraju” tłumaczka pisze: „gdziekolwiek by się człowiek znalazł”, „dokądkolwiek wyjechała”, „ktokolwiek by to był”. A pod fotografią A. Osieckiej widnieje napis: „Czego by się nie tknęła, kończy się piosenką”. A przecież logicznie biorąc to „nie” zaprzecza temu, co się chce wyrazić: „nie tknęła”, a przecież idzie o to, że „tknęła”.

Niechże nie tylko autorzy, ale redaktorzy, adiustorzy i korektorzy zapamiętają tę prostą zasadę: zamiast „jakby nie było” należy mó-

wić i pisać „jakkolwiekby było” lub „bądź co bądź”.

Niektórzy słyszeli o tym „jakkolwiek”, ale od „nie” nie potrafili się wyzwolić i piszą też błędnie: „jakkolwiekby nie było” albo „cokolwiek by nie było” („Pokutujące śniegi” str. 28). „Jak wolno bym nie szedł, to jednak zdobywam wysokość” (tamże). Albo: „Docieklność to usprawiedliwiona, jakkolwiek by nie była dokuczliwa”. (B. C. „Kultura” nr 7 1970). W tych wszystkich przykładach „nie” jest zupełnie zbędne. To jakaś obsesja!

A jednak błąd ten występował i dawniej, sięgając nawet 19 wieku. Dowodem na to cytuję w artykule o Świętochowskim („Kultura” nr 1 1971) pochodzący z tych czasów: „Jakiego zagadnienia by nie tknął, w jakiej formie by go nie zawarł — był zawsze i wszędzie publicystą”.

# Studencka spółka usług specjalnych

Dokończenie ze str. 6-7

przecież będę musiał odwiedzić moja towarzyszkę aż na daleki Czerniaków, potem wrócić do domu na drugi koniec miasta i o szóstej rano być już w redakcji. Na sen pozostanie mi trzy, trzy i pół godziny. Nie była to zachęcająca perspektywa, ale innego wyjścia nie widziałem. Jak na zamówienie na placu Trzech Krzyży stał nocny tramwaj na Czerniaków. Dojeżdżaliśmy już do ulicy Chelmskiej, gdy moja towarzyszyca wyciągnęła z torebki kopertę i podała mi ją mówiąc:

— Niech mi pan przyrzeknie, że zajrzy pan do środka dopiero po powrocie do akademika.

Początkowo nie chciałem, ale wtedy zdecydowanie schowała kopertę bez słowa. W jej ciemnych oczach jakby zamigotały łzy. Odsunęła się jeszcze bardziej w kąt ławki i przygryzła wargi, nie malowane wargi (zawsze miałem słabość do nie malujących się kobiet). No cóż — przyrzekłem.

Już w portierni akademika rozdarłem kopertę. Była w niej mała, wąska wizytówka z nazwiskiem, imieniem, adresem i podkreślonym ołówkiem numerem telefonu. Podkreślonym — to znaczy, że czeka

na mój telefon, pomyślałem. I nagle — przecież znam to nazwisko, oryginalne, jeżeli nie unikalne!

Ponieważ posiadanie telefonu prywatnego było w ówczesnej Warszawie rzadkością, następnego dnia przez biuro numerów stwierdziłem, że widniejący na wizytówce numer należał do organizacji Rodzina Wojskowa. Po skontaktowaniu się z biurem personalnym wszystko potwierdziło się. Moją wczorajszą towarzyszkę poznałem już wcześniej, przetańczyłem z nią pół balu, a wkrótce potem prowadziłem delegację na pogrzebie...

To było w latach 1935/36. Odbywałem wtedy służbę wojskową w IV Dywizyjnym Kursie Podchorążych przy 13 Pułku Piechoty w Pułtusku. Dowódcą kursu, kapitan Cicharski, był bardzo surowy, m.in. nie pozwalał nam na posiadanie mundurów z kamgaru, które rzekomo przysługiwały tylko oficerom. Ale gdy w czasie karnawału odbywał się bal garnizonowy, kapitan koło północy zarządził alarm i zapytał przed frontem naszej kompanii:

— Kto posiada mundur kamgaronowy? Wystąpi!

Naturalnie nikt nie wystąpił. Dopiero gdy uroczyście przyrzekł, że do końca kursu nikogo nie spotka przykrość za posiadanie „oficerskiego” munduru, okazało się, że ponad połowa z nas miała takie mundury. Dostaliśmy pół godziny na ogolenie, umycie się i przebranie, po czym dwoma rzędami wkroczyliśmy na salę balową w kasynie z obowiązkiem kolejnego, bez wybierania, zaproszenia do tańca żon oficerów. Sami oficerowie już w bardzo różnorodnych humorach urzędowali przy bufetach — większość dobrowolnie, pozostali z moralnego przymusu. Zonami mieli zająć się specjalnie do tego celu sprowadzeni podchorążowie.

Różnie to wypadło. Niektórym kolegom przypadły całkiem łagie i podstarzałe babska, w dodatku z pretensjami. Ja miałem szczęście — moja przypadkowa partnerka była młoda, miła i gdyby nie fakt, że sytuacja mimo wszystko wydawała mi się przymusowa, a myśl o być może snującym się gdzieś obok, a nie znanym mi mężu, irytująca — byłbym zapewne bardzo zadowolony. A tak nawet niezbyt dokładnie przypatrzyłem się mojej tancerce.

Chyba dwa miesiące później do pułku zjechała kontrola finansowa.

Po kilku dniach rozesyła się pogłoski, że wykryto jakiegoś nadużycia. Tego samego dnia zastrzelili się oficer-płтник, a potem stwierdzono, że żadnych nadużyć nie było. Na pogrzeb wybrano delegację podchorążych, już oficjalnie w mundurach kamgaronowych. Zostałem mianowany dowódcą delegacji. W drodze na cmentarz koleżdy stwierdzili, że idąca za trumną wdowa jest właśnie ta, z którą na balu tańczyłem. W czerni wyglądała zupełnie inaczej i taka twarz pozostała mi w pamięci.

Teraz konfrontowałem wyblakły już portret sprzed dwóch lat i ten z wczorajszego wieczoru. Cechy fizyczne były te same. Ale przecież była między nimi jakaś wielka, niewytłumaczalna różnica, nieuchwytna, a bardzo realna. Nie ulega wątpliwości, że w pewnej chwili i ona mnie poznała. Inaczej przecież nie dałaby mi tej wizytówki, a po prostu umówiła się na następne spotkanie — lub nie. Poznając mnie, pozostawiła mi wybór.

Do dzisiaj nie wiem, czy zrobiłem dobrze. Nie zatelefonowałem nigdy.

Jerzy Dostatni



Antoni Fałat: obraz z Prezentacji.

# Sesje i obsesje

Ireneusz J. Kamiński

**S**ZTUKA nie żyje sesjami ale obsesjami. Sesje są organizowane, honorowane, pozostają po nich kilogramy dokumentacji w postaci katalogów i artykułów prasowych, pozostaje po nich kilka anegdot i coś w rodzaju zakłopotania, że właściwie po co to wszystko, jeśli po tygodniu rzecz idzie w zapomnienie. Od wielu lat sesjami artystycznymi stały się w Polsce wystawy okręgowe plastyki, urządzane na zasadzie powielania zwierzchniej formuły rodem z dwudziestolecia międzywojennego, która nie jest w stanie pełnić roli pośrednika między twórcą a odbiorcą, nie mówiąc już o animacji życia sztuki. Zgubiła te ekspozycje bezpragmatyczność i brak ambitniejszych kryteriów uczestnictwa, faktycznie bowiem kto chce, kto coś tam napacykował, ma prawo obecności w dorocznym przeglądzie środowiskowego inwentarza. Letnia atmosfera owych pokazów zniechęcała wybitniejszych artystów, którzy z zasady omijają te współczesne odpowiedniki dawnych „wystaw gwiazdkowych”. Dziś liczą się wystawy o ostro zarysowanym obliczu problemowym, będące terenem artystycznych dyskusji i starć ideowych, umożliwiające konfrontację poglądów.

W skali światowej do takich imprez zaliczają się „Documenta” w Kassel, na których Ben Vautier pyta o sens istnienia sztuki, a ktoś inny prowadzi coś w rodzaju „agencji politycznej”, rozdając ludziom ulotki o określonych treściach. Do Kassel ściągają artyści z przekonaniem, z wyboru, a nie z przypisania do takiego czy innego związku, organizacji, oficjalnego błogosławieństwa. Najbardziej wyspekulowane tendencje artystyczne rodzą się w trakcie działań spontanicznych, żywią się nie sesjami, lecz obsesjami.

W 1965 roku Szczecin zainicjował Prezentację Malarzy z Krajów Socjalistycznych i można powiedzieć, że fakt ten był następstwem gorączkowego szukania przez miejscowe środowisko dróg wyprowadzających je z partykularza. Pragnienie wyjścia poza „znormalizowany” układ artystyczny ujawniło się zresztą wcześniej pod postacią organizacji tak znaczącej dziś w kraju imprezy plastycznej, jaką są Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego — czuła kronika przemian naszej sztuki w ostatnim dziesięcioleciu. Być może sukces pierwszych imprez, opatrzonech festiwalowym znakiem, nadał szczecińskim ambicjom wymiar międzynarodowy, być może na konkretyzującą ideę Prezentacji wpłynął renesans malarstwa nastawionego na obserwację rzeczywistości społecznej, dostrzegalny w całej Europie i stanowiący dogodny punkt wyjścia do nawiązania bliższych kontaktów ze sztuką krajów socjalistycznych... Jedno nie ulega wątpliwości: inicjując Prezentację, Szczecin jeszcze raz udowodnił, że dysponuje całkiem przyzwoitym zmysłem orientacji i odwagą.

Do 1965 roku między krajami socjalistycznymi nie istniała żadna stała płaszczyzna wymiany informacji i wartości artystycznych, a stosunkowo rzadkie i oficjalne wystawy prezentowały albo klasyków sztuki narodowej, albo wybrane tendencje malarstwa, grafiki i rzeźby — ostatecznie także przynależne do tradycji. Właściwie nie wzajemnie nie wiedziliśmy o kształcie twórczości najmłodszej generacji, ulamkową wiedzę o poczynaniach leningradzkiego ugrupowania „Dwiżenie”, czy frapujących environments i „interwencjach” Słowaka Stano Filko czerpaliliśmy daleko od źródła, a m. in. z prasy specjalistycznej, o małym zasięgu społecznym. Oficjalny charakter wymiany kulturalnej doprowadził do tego, że sztuka usiłowała żyć sesjami o rozmiarach międzynarodowych, co w rezultacie owocowało przede wszystkim pod postacią efektywnie wydawanych katalogów, ciepłych recenzji, kuratuzjnych gestów i serdecznych przemówień na tematy ogólne. Coupage bez obsesji, czyli wino „patykami pisane”.

Więc Szczecin wkroczył w dogodnym momencie i odważnie, proponując nie tylko stałe miejsce spotkań malarzy z krajów socjalistycznych, ale i nową formułę wystaw. Członkowie istniejącej wówczas grupy plastyczno-poetyckiej „Metafora” — m. in. Wierczyński, Mazur, Henryk Naruszewicz, Łukasz Niewisiewicz, Gułdo Reck, Andrzej Zywicki — nawiązali osobiste kontakty z artystami z zaprzyjaźnionych krajów, opracowali program i regulamin imprezy, uzyskali poparcie władz szczecińskich i akceptację ZG ZPAP, no i po prostu wysłali imienne zaproszenia do wybranych twórców; pobłogosławione zostały te listy przez zarządy główne krajowych związków plastycznych.

W I Prezentacji w salach Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie wzięli udział malarze z Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii i ze Szczecina: 38 autorów 126 prac. Muzeum zakupiło najciekawsze obrazy, inicjując tym samym Galerię Malarstwa Krajów Socjalistycznych. Kilku artystów zagranicznych otrzymało honorowe odznaki Towarzystwa Przyjaciół Szczecina... Impreza chwyciła: publiczność uznawała ją za godną uwagi, twórcy — za dobre miejsce wymiany myśli i świetnie wybrany teren nawiązywania osobistych kontaktów. Prezentacje wypełniły poważną lukę w życiu artystycznym wspólnoty socjalistycznej, stając się zapowiedzią nowej sytuacji na drodze zblżenia do siebie twórczości tych krajów.

Począwszy od III Prezentacji patronat nad imprezą objęło Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Główny ZPAP i Prezydium WRN w Szczecinie, a uczestnicy wytypowani zostali przez zarządy główne plastyków poszczególnych krajów. Zyskując wsparcie materialne i organizacyjne, Prezentacje pozbawiły się zarazem bezpośredniego wpływu na swój kształt ze strony środowiska szczecińskiego, które przy organizacji dotychczasowych spotkań kierowało się przede wszystkim kompleksem personalno-artystycznym. Jaki był tego rezultat?

Od IV Prezentacji widać nudą i wietlobarwą szarzyzną. Ogromna więźność prac, choć regulaminowo pochodząca z ostatnich 4 lat, równie dobrze mogła być powstać 15—20 lat temu. W Zamku Książąt Pomorskich — poza nielicznymi wyjątkami — czas zatrzymał się w miejscu. W ekspozycji znalazło się prawie wyłącznie malarstwo rodzajowe i pejzażowe, nie mówiąc o nielicznych portretach oraz kilku kompozycjach o charakterze metaforycznym (w zestawie czechosłowackim i polskim) — pisała w 1971 roku Ewa Garztecka.

System organizacji Prezentacji szczecińskich nie zmienił się, trudno zatem było dać wiarę komitetowi przygotowującemu tegoroczne, piąte spotkanie, który zapewnił na piśmie, że będzie ono konfrontacją postaw i warsztatu najciekawszych indywidualności malarstwach krajów socjalistycznych, ukazującą aktualne nurty sztuki, liczące się i wiodące wśród różnorodnych tendencji współczesnych aktualnie w poszczególnych krajach.

W V Prezentacji, otwartej 1 lipca, pokazano 144 prace 34 malarzy z Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego. Imprezę ozdobiło koncertem kameralnym, przyzwoitym, trójjęzycznym katalogiem, ciekawym medalem pamiątkowym, szeregami spotkań poznawczych i towarzyskich, w których m. in. brali udział niektórzy artyści ze wspomnianych krajów, przybyli na inaugurację wystawy.

Jeśli zaś chodzi o malarstwo: gdyby nie zestaw rumuński i polski, cytowane wcześniej opinie o poprzedniej ekspozycji należałoby uznać za aktualne. Bułgarzy pokazali pejzaże utrzymane w konwencji realistycznej (Iwan Christow, zasłużony artysta, odznaczony Orderem i stopnia Cyryla i Metodego), monumentalne w wyrazie i gloryfikujące potężną urodę ziemi rodzinnej, oraz syntetyczne w swej formule malarstwie krajobrazy przemysłowe Peter Doczewa. Czesi i Słowacy, reprezentowani w zasadzie przez artystów starszego pokolenia, poinformowali o żywotnej na poludniu skłonności do rozwiązań dekoracyjnych, opartych na znacznej kulturze malarstwie. Twórcy z NRD, wspierając się na tradycji artystycznej (Frank Rüdiger, znany dobrze obrazem Kokoschnki), udostępnił pejzaże i kompozycje figuratywne, Węgrzy — płótna z własną interpretacją kubizmu, a artyści radzieccy — monumentalne portrety, stylizowane, na ludowość sceny zbiorowej, wspomnienia z ważnych wydarzeń historii. W tym zestawie odrębne miejsce zajmowało płótno Sarkisa Muradiana (ur. w 1927 r. w Erewaniu) pt. „Sadzonki”, subtelna, nastrojowa metafora młodości.

Rumuni — Marin Gherasim, Semproniu Icozan, Florin Alexandru Mitroi, Aurel Nedel, Dan Negoescu — w komplecie, jako jedyna ekipa, pojawili się w Szczecinie, a ich obrazy zgromadzone w osobnej sali. Byli to ludzie młodzi (33—34 lata, jeden Nedel urodził się w 1930 r.), co także wyróżniało ich wśród uczestników Prezentacji. Brali udział w poważnych wystawach międzynarodowych w Paryżu, Rzymie, Wiedniu, Tokio, Moskwie, Belgradzie, czego nie można powiedzieć o zdecydowanej większości pozostałych malarzy. Przede wszystkim wyróżniali się twórczością.

Osobiście najciekawszy wydał mi się trzydziestoczteroletni Dan Negoescu, autor niewielkich obrazów, celowo ujętych w bogato profilowane, pozłacane ramy, dyskretnie nawiązujące do malarstwa holenderskiego, traktowanego jako podłoże nadrealistycznych kompozycji figuralnych. Szyderstwo, okrucieństwo, realność i sennie fantasmagorie określają treść i klimat emocjonalny tych płócien. Pewne filiacje z nadrealizmem wykazują również prace Semproniu Icozan (35 lat), Malowane olejem na drewnie (!), gromadzą w swoich żółtawo-zielonawych wnętrzach ni to układy kostne, ni rzeźby abstrakcyjne przechodzące w biologiczne kłębowiska materii. Pokryte strzałkami, krzyżkami, znakami przeniesionymi z planów architektonicznych — „Urbanizmy” Marina Gherasima stoją na pograniczu między tradycyjnym malarstwem abstrakcyjnym, a sztuką konceptualną.

Zestaw polski to obrazy Macieja Bieniasza, Antoniego Fałata (nie-dawno wystawiał w Lublinie), Grzegorza Morycińskiego (przemysłowy, satysfakcjonujący widza powrót do postaci — problemu moralnego arlekin), Olega Balakirewa i Jerzego Brzozowskiego, a więc malarzy na tyle znanych, że tym razem można darować sobie omówienie ich twórczości.

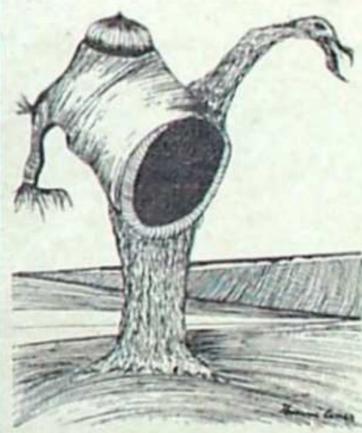
Prezentacje Malarzy Krajów Socjalistycznych w Szczecinie są potrzebne. Jeszcze bardziej są potrzebne Prezentacje, których zasada organizacyjna sprawi, że obecność obrazów związanych ze współczesnością artystyczną i intelektualną, takich jak te, rumuńskie i polskie, nie będzie ewenementem. Co dedykuję komitetowi organizacyjnemu tegorocznej imprezy, któremu przewodził Zdzisław Czaplinski, redaktor naczelny zasłużonego „Kurier Szczeciński”, towarzyszącego Prezentacjom od grudnia 1967 r.

# Bielenie sadów

Dokończenie ze str. 1

przybyło 300 ha. Przykładem zainteresowania rolników sadownictwem może być wieś Kamiń, która po niedawnej komasacji dosłownie pokryła się drzewkami owocowymi, choć wcześniej jako o-mijała to źródło dochodów. Nielatwo dziś kupić w powiecie materiał nasadzeniowy, mimo że PGR w Józefowie i sporo gospodarstw prywatnych dysponuje szkółkami, nastawionymi na sprzedaż drzewek. Tego typu trudności mają przecież i dobre strony, ponieważ hamują rozwój „sądów chałupniczych”, małych, niskowydajnych, z punktu widzenia interesów ogólnospodarczych — w zasadzie zbytecznych. Bo to nasze „zagłębienie” opiera się na sadach o skromnej powierzchni, liczących po trzy, cztery, czasami pięć hektarów. Dziś jeszcze, w warunkach rolnictwa indywidualnego, mają one co prawda charakter gospodarstw towarowych, ale już teraz nie odpowiadają założeniom wprowadzanej reformy krajowego sadownictwa.

W tej sytuacji władze powiatu zachęcają rolników do zakładania sadów zblokowanych, zespołowych, które jednak nie budzą jeszcze specjalnego entuzjazmu na wsi, mimo że wszyscy zdają sobie sprawę z opłacalności przedsięwzięcia. Jest to dość zaskakujące, albowiem właśnie w powiecie opolskim założono niegdyś jeden z pierwszych w Polsce sadów tego rodzaju. Jeszcze bowiem w 1963 r. czterech rolników z Radziejowia połączyło swoje działki w pięciohektarową całość, korzystając z materialnej pomocy Prezydium PRN. Tymczasem według oficjalnej historii sadownictwa polskiego, utrwalonej w prasie, pierwsze sady zblokowane miały powstać w 1963 r. w województwie krakowskim, które aktualnie bliżej zresztą pod tym względem inne regiony o dobrych kilkanaście długości, posiadając 40 zespołów — z ogólnej liczby 60 w kraju. Tak czy inaczej, inicjatywa radziejowicka nie doczekała się rozwinięcia, nie znalazła zwolenników, za co ostatecznie trudno winić samych rolników opolskich: wiadomo przecież, że przez wiele lat sadownictwo było w istocie niedoceniane, a „kłę-



Rys. Dominik Opolski.

ski urodzaju” zamiast mnożyć majątek ludzi, stawały się przyczyną ich rozgoryczenia, prowadzącego ostatecznie do zaniedbania upraw.

Coś przecież i w kwestii „zablokowanej” dzieje się na lubelskiej Opolszczyźnie. Jesienią dziesięciu sąsiadów z Białowodzki przystępuje do założenia wspólnego sadu o powierzchni 24 ha, a to już jest wielkość warta zachodu, tym bardziej, że woda do opryszków zostanie doprowadzona na koszt państwa. Są też chętni w Wandalinie (15 ha), Miłoszówce i Otzarowie, gdzie przymierzają się do sadu winiowego, co w warunkach opolskich jest nie tylko dowodem myślenia w kategoriach ekonomicznych — brak upraw poszukiwanego owocu — lecz i odwagi. Nie tak dawno temu zakład przetwórstwa owocowo-warzywnego w Kluczkowicach zasadził winię, za co został pokarany przez naturę. Drzewka nie przyjęły się, nie wiadomo właściwie dlaczego, zakład poniósł poważne straty. Tymczasem wiadomo, że winia oplaca się, wymaga mniej zabiegów pielęgnacyjnych, niż np. śliwa, nie cieszy się zainteresowaniem rolników. Ale jej zbiory przypadają na okres szerególnego spienienia prac potowych, w okresie żniw, co w warunkach charakterystycznego jeszcze dla gospodarstwa Lubelszczyzny braku specjalizacji produkcyjnej powstrzymuje rolników przed szerszą uprawą tego opłacalnego drzewka. Zresztą winia, o czym wspomniano, w całym kraju zeszła na margines sadownictwa. Być może nowy gatunek, wyhodowany w HRZD w Końskowoli pod okiem mgr. Marcja, który z wyjątkowym wyczuciem łączy naukę z praktyką, zapoczątkuje odrodzenie sadów winiowych.

Sady zablokowane zwiększą produkcję owoców i co dalej? Czy to znaczy, że jabłka, śliwki etc. będą tańsze i łatwiej dostępne na rynku? Owszem, ale pod pewnymi warunkami,

kami, które muszą być spełnione. W ubiegłym roku powiat opolski wyprodukował ogółem 22 tysiące ton owoców, z czego 14 tysięcy przejęły uspołecznione punkty skupu, reszta, prywatnym transportem i zgodnie z zasadami prywatnej inicjatywy, powędrowała do innych rejonów kraju. Nie po raz pierwszy wypada krytycznie ocenić działalność spółdzielni ogrodniczych, które chorują na małą operatywność i nader skwapliwie podpisują zaniżone umowy kontraktacyjne. Zaledwie 10 proc. ubiegłorocznej produkcji powiatu objęła kontraktacja. I w tej dziedzinie władze podejmują decyzje, zmierzające do uzdrowienia sytuacji. Poza zwiększeniem kontraktacji, decydującym także o wzroście przydziałów wysokiej klasy środków ochrony roślin, ustanawia się zasadę konieczności odbioru towaru z całej zakontraktowanej powierzchni. W przeszłości nie chcąc narażać się na kłopoty ze zbytem, występujące okresowo w latach szczególnie wysokich urodzajów, spółdzielnie zaniżały normy planowania. W rezultacie rolnik wyrzucał owoce do rowu, a ceny na rynku rosły.

Na drodze konsumenta stoi jeszcze jedna przeszkoda, a jest nią słaba sieć punktów skupu. Te, które są, trudno uznać za funkcjonalne, te zaś, które znajdują się w trakcie budowy — w Zadolu, Zakrzowie i Zagłobie — nie rozwiążą całkowicie problemu.

Szerszy rozwój sadownictwa w powiecie opolskim hamują również inne braki techniczne. Otóż żaden z zakładów skupujących owoce nie posiada przyzwoitej przechowalni. Mało tego: potentat sadowniczy, za jakim uchodzi wypada 140-hektarowe Państwowe Gospodarstwo Rolne w Józefowie, także nie posiada takiego podstawowego pomieszczenia, wszystko więc co zerwie z drzewa, musi zaraz sprzedać, odstawić, a to znowu nie takie proste i łatwe. W praktyce przechowuje się owoce w skrzynkach pod wiatami, drząc z obawy przed ewentualnością pięciostopniowego przymrozku. W tej chwili Józefów remontuje obiekt zdolny pomieścić 200 ton, gdy tymczasem potrzebny jest taki, który mógłby przyjąć kilkakrotnie więcej.

Narzekać na małe, przyzgodowe sady, obsadzone prymitywnymi odmianami drzew, trzeba im oddać część przynajmniej pod jednym względem. Dają one bowiem owoce tanie, chętnie kupowane przez przetwórców owocowo-warzywnych, które tylko dzięki takiemu surowcowi wychodzą na swoje. Tymczasem rolnicy, z oczywistych względów, nie są zainteresowani produkcją owych taniocich, uszlachetniają gatunki, poszerzając areal wartościowszych odmian. Niski procent tzw. spadów (20) zmusza wspomniane zakłady do poszukiwania surowca w innych powiatach, które nieradko nie dotrzymują zobowiązań, jako że w kontraktach mogą przebiegać jak u ulegających na własnej skórze odczuły to Kluczkowice, zrobione „w konia” przez krasnostawską spółdzielnię ogrodniczą. W rezultacie trzy przetwórcze opolskie tracą skłonność do jablek, przede wszystkim jednak absolutnie nie są zainteresowane w podnoszeniu sadownictwa na wyższy poziom, bo im lepiej na gałęzi jablekni, a tym samym na naszym stole, tym gorzej w księgach rachunkowych zakładów i w kieszeniach ich pracowników. Treba zatem uruchomić jakieś specjalne bodźce opłacalności produkcji jablek przemysłowych, albo pomyśleć o zakładaniu sadów odmian prymitywnych przy przetwórcach. To drugie rozwiązanie wydaje się bardziej realne, a także, na dłuższą metę, bardziej opłacalne.

Jeśli chodzi o kolejny istotny moment, warunkujący przekształcenie sadownictwa w dziedzinie faktycznie towarowej, a więc o zaopatrzenie wsi w maszyny i urządzenia, to w przypadku powiatu opolskiego sprawa wygląda dość dobrze. Od 1970 roku sadownicy zakupili 150 traktorów, posiadają 80 opryskiwaczy ciągnikowych i ok. 500 konnosilnikowych. We wsiach typowo ogrodniczych mechanizacja produkcji staje się zasadą. W Zaklikowie na przykład 30 rolników posiada traktory, a każdy właściciel sadu dysponuje opryskiwaczem. Zdecydowana większość wybudowała przechowalnię... Zatem obecnie, kiedy sad czterohektarowy uznawany jest za duży, kiedy trudno kupić materiał nasadzeniowy — ze sprzętem nie jest źle. Za rok, dwa sytuacja może się pogorszyć, jeśli, oczywiście, przemysł nie zdoła zrealizować programu, zakreślonego w wiosennej uchwale Rady Ministrów. Bez mechanizacji nie ma mowy o potaniu kosztów produkcji, nie ma mowy o tańszych jablekach, gruszkach i śliwach na rynku.

(Jeśli kogoś interesuje: jeden hektar jablek daje od 40 do 80 tysięcy złotych czystego dochodu).

Tadeusz Graba

# Z publicystyki 1940-1944

## Szyrogram literacki nr 16

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24		
25	26	27	28	29	30	31		32	33	34	35	
36	37	38	39	40		41	42	43	44	45	46	47
48	49	50	51	52	53	54		55		56	57	
58	59	60	61	62	63	64	65		66	67	68	69
70	71	72	73	74	75	76	77		78	79		
80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	
92	93		94	95	96	97	98		99	100	101	102

JEDNYM z błędów w podejmowaniu problemów związanych z twórczością okresu wojny było to, że zaczęto od ocen, a nie od ustalania faktów i opracowania materiałów (s. 30). Te słowa Zdzisława Jastrzębskiego, autora antologii\*, wyjaśniają powód, dla którego podjął się on prezentacji wybranych tekstów z konspiracyjnej publicystyki literackiej. W naukach o literaturze często mamy do czynienia z oporami w weryfikowaniu komentarzy subiektywnych — przez brak dystansu — krytyki studiami szczegółowymi historyka literatury. By nie być gołosłownym przypomnę, że barok dopiero w naszych czasach doczekał się takiego, rehabilitującego zabiegu. W przypadku twórczości z lat 1939—1944 potrzeba konkretnych stereotypów jest tym bardziej widoczna, że *Wojenny głos młodych* — tragiczny to argument — był też głosem jedynym, gdyż niemal cały aktyw zginał (...) (s. 31). Zdarzały się (...) powiązania wynikające z tego, że różne grupy dorosłych zabiegły o młodzież, o wykazanie się posiadaniem młodzieżowych komórek; udzielono np. pomocy w wydawaniu pisma, któremu pozwalano na samodzielność pod warunkiem wychodzenia pod firmą (s. 14). Te sprawy należy tłumaczyć jeszcze dzisiaj, a co dopiero mówić o sytuacji przed laty dwadzieścia.

Są to niej publicystyce — przyp. mój S. J. K.) również zagadnienia, które pozostają nadal otwarte i warte rozwinięcia, jak choćby sprawa aktywizacji, bezpośredniości i dystansu, wzajemnych relacji między funkcją społeczną, patriotyczną i artystyczną itd. (s. 30). Tym właśnie śladem pragnie się posuwać niniejsze omówienie.

Materiał ułożony jest w dwóch cyklach: artykuły ogólne i programowe w pierwszym, a szkice i recenzje bieżącej twórczości wojennej w drugim. Artykuły uszeregowane są chronologicznie. Okazuje się, że recenzje konkretnych tomów zawierają wiele cennych, ogólnych sformułowań, wspaniale uzupelniających całościowe widzenie kultury w tym, nawet dla Polaków, wyjątkowym czasie. (Trudno np. o właściwe komplementy dla eseju Kazimierza Wyki napisanego w formie listu do K. K. Baczyńskiego.)

Zdzisław Jastrzębski zaznacza, że ówczesnym kryteriom najbardziej by odpowiadał klucz pokoleniowy; daje się to potwierdzić w lekturze, ale przyjęta zasada chronologiczna imituje przynajmniej (przy wyborze selektywnym) całokształt publicystyki kulturalnej pod okupacją.

Publicystyka konspiracyjna nawiązując do problemów, jakie uzewnętrznili się w okresie międzywojennym, rozpoczynała swoją penetrację od spraw najbardziej ogólnych. Tak np. w artykule programowym („Dziś i Jutro” 1941 nr 2) czytamy: *Demokracja nie może być równaniem w dół; musi być wyrównaniem szans i pobudzeniem przez otwieranie możliwości. Elita nie może być w żaden sposób sztywna, zamknięta i wyróżniana. Należą do niej przodownicy i właśnie z tej tylko racji, że przodują (s. 37).* W tym samym artykule spotykamy się z problemem alienacji ludzkich wytworów: *Przedziwne i trwałe wypełnianie zadania, jakie stoi przed nami, polega na tym, by człowiek całkowicie zawiadł swoimi nowymi narzędziami tworzenia i krzewienia kultury, którym dziś najczęściej służy niewolniczo. Mają się one stać właśnie i tylko narzędziami (s. 39).*

Zalecenia przyszłościowe, uzależnione od potrzeb aktualnych, nakładają literaturze zadania obrzydliwe: *Jutro czekamy na zdrową, heroiczną (nie trzeba się takich słów wstydzicie!) literaturę, zdolną wyzwolić z narodu zapas jego moralnych sił i zapal przy pracy konieczny w budowie WIELKIEJ POLSKI (s. 42).* Jednocześnie pamięć, jaką rolę w literaturze system faszystowski, kazala uzupełnić powyższe zalecenie następująco: *Nie będziemy nie literaturze narzucać siłą, nie chcemy mnożyć błędów popełnianych przez państwa totalne (s. 42).* Koresponduje z tym uzupełnieniem wypowiedź W. Bojarskiego: *Wyznajemy radozną afirmację życia — tego faktu cudownego, jedynego, niepowtarzalnego drugi raz w tym samym kształcie. A dalej: Nowa sztuka ma przed sobą setki formalnych kształtów i półkształtów, ale zasadniczo postać tylko jedną. Nie chodzi tu przecież o form, sztukę — państwootwórczą — propagandową (s. 51).* O poszukiwaniu złotego środka między obowiązkami a prawami twórcy najpełniej chyba powie fragment następujący: *Problem polityki kulturalnej staje przede wszystkim w zakresie biegunowych przeciwieństw liberalizmu, który zaleca powstrzymanie się od wszelkiej akcji, i totalizmu, wcale niekoniecznie tylko faszystowskiego, który pragnie uczynić wszystko, aby życie kulturalne — zorganizować (s. 171).*

Osobną rolę w antologii, a zatem i w publicystyce konspiracyjnej, odgrywa sprawa publiczności literackiej. O. Kościła formułował to następująco: *W interesie poetów leży, aby ta elita była jak najliczniejsza, aby obejmowała najróżnorodniejsze warstwy narodu, wtedy bowiem nie nosi ona charakteru sromowego, literackiego areopagu (a mówiąc stylem mniej wzniosłym — „sityw”) krytyków, ferującą nieomylnie wyroki, hamującą swobodę twórczą. Stworzenie elity kulturalnej to problem kapitalny w literaturze, bo ta elita determinuje w pewnym stopniu poziom literackiej produkcji (s. 140).* Musiała sprawa odbiorcy zajmować poważne miejsce, skoro czytamy: *Tytuł — Widma. „Biblioteka Sztuki i Narodu” str. 25. Powielono 250 egzemplarzy (s. 234).* „Widma” Trzebińskiego uznawane są przez publicystów konspiracyjnych za jedno z największych wydarzeń literackich tamtego czasu, mimo że, jak widzimy, nakład był bardzo ograniczony. Warto przypomniać, że obecnie nakłady debiutanckich tomików sięgają 1000 egzemplarzy, również bez względu na rolę autora w ruchu poetyckim... Aby zakończyć ze sprawą publiczności literackiej wydaje się istotne podkreślenie, iż wielokrotnie pojawia się na kartach antologii stwierdzenie: *„Jak i słuchacz taki wieszczę”...*

Cykl drugi poświęcony jest w całości omówieniom wojennej twórczości. Autorzy recenzji piszą bezpardonowo, ostro. Do dzisiaj (a może lepiej: dzisiaj) są te wypowiedzi traktowane bardzo kontrowersyjnie. Tak np. drukowana w antologii wypowiedź Gajego na temat twórczości poetów zgromadzonych wokół „Skamandra” stanowiła punkt wyjścia długiej dyskusji, rozpętaną przez Artura Sandauera kilka lat temu. Publicyści wykrywali nawet najmniejsze wady z myślą o powstaniu dzieł wartościowych. Pisanie traktowało bowiem jako jeszcze jedną formę walki, kto wie czy nie cenniejszą perspektywie od walki zbrojnej.

Jej (młodzieży — przyp. mój S. J. K.) publicystyka była bardziej dynamiczna i pod względem dużej czasem żywiołowości, i w tym sensie, iż jest to niej więcej poszukiwania, procesu myślenia niż wykładania gotowych poglądów — pisał Zdzisław Jastrzębski. Nie doczekał się ukazania antologii. Pozostaną jednak jego dokonania, by pobudzić do myślenia i poznawania.

Stanisław Jan Królik

\* Konspiracyjna publicystyka literacka. 1940—1944. Antologia. Oprac. i wstępem poprzedził Zdzisław Jastrzębski. Kraków 1973. Wydawnictwo Literackie s. 288.

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce literki przednie odpowiedziałe im literki. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między słowami, podwójne przerwom między wierszami. Rozwiązaniem będzie początek wiersza poety lubelskiego lat międzywojennych.

Odwaga 1, 29, 68, 43, 89, 95. Moment zwrotny — 18, 3, 56, 5, 181, 28, 24. Siłocia państwa w Azji — 33, 19, 27, 45, 44. Rycerz waleczny, Indianin — 13, 79, 20, 27, 37, 46, 48, 76. Zespół śpiewaczy — 39, 11, 34, 84. Zakładowa jadalnia — 94, 63, 52, 29, 12, 6, 92, 47. Królewska ozonka władzy — 53, 50, 68, 88, 61, 182. Pełni satyrę z XIX wieku — 85, 2, 81, 109, 24. Nauka o zwierzętach — 4, 42, 87, 44, 13, 17, 7, 39. Podziemne części roślin — 16, 26, 8, 22, 58, 85, 71, 8. Broń z ciecwi — 49, 93, 79. Partnerka Ramea — 14, 83, 59, 35, 54. Ma prawo tylko odchodzić — 91, 57, 51, 97, 19. Dramat muzyczny — 69, 35, 94, 21, 77. Czarodziej — 68, 62, 48. Imię autora wiersza i jego nazwisko — 98, 74, 78, 49, 23, 65, 32, 41, 28.

Rozwiązania można natyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrody — bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 12 był fragment wiersza Władysława Broniewskiego: „Kłaniam się rosyjskiej rewolucji czapka do ziemi. po polsku.

radzieckiej sprawie, sprawie ludzkiej, robotnikom, chłopom i wojsku”  
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14  
POZIOMO: Familia, aspekt, ruada, rektor, zator, Otton, Tzara, prosa, nok. Kleopatra, lej, droga, kłpina, Kłaza, Hunt, ucho, manko, seris, Lhasa, piarg, Katanis, kurenda, mazak, kowal, karez, rak, Antonio, Tot, dural, Odeon, otawa, orak, koksa, Galen, tam-tam, Niagara.  
PIONOWO: Fionda, autor, Matka, idio, lanka, Artek, koran, spak, par, etola.

koser, trojak, Etop, Sapielo, rata, genitalia, Leninakan, Bekas, urza, trakt, ulik, Chaos, Oskar, speks, kadra, oracz, sula, warunek, Bardot, katana, Saura, Skram, Balta, otok, bodor, cios, Honan, Kioga, Atala, Gower.  
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody wylosowali: Bohdan Biełkowski, Lublin, ul. Droga Merz, Majdanka 13 m. 1; Maria Sklarzyk, Szpital Powiatowy we Włodawie; Paweł Zawisa, Włodawa, Al. Wyzwolenia 56; Tadeusz Ujazd, Lublin, Al. PKWN 1/98.

## Struktura emocjonalna a społeczna adaptacja

Dokończenie ze str. 5

— uważa je za nieistotne. Ma halucynacje słuchowe — słyszy głos narzeczony—lekarza, który pracuje w szpitalu, może z nim rozmawiać na odległość, porozumiewać się przy pomocy myśli. Ustalono już datę ślubu. Zaplanowano przyszłość. Kalendarz zostało wyparte ze świadomości, a marzenia zrealizowane w patologicznych przeżyciach. Układ emocyjny przystosował człowieka do życia przez patologię. Dzielczyzna nie prosi o leczenie — nie uważa się za chorą, jest przeciw szczęśli-

wa. Tymczasem rodzina, społeczeństwo, lekarze uważają, że trzeba ją leczyć. Zgodnie z wiedzą i sumieniem.

Współczesna psychofarmakologia czyni nieustające postępy. Podając leki neuroleptyczne, szybko usuwamy objawy reakcji kompensacyjnej. Zawracamy człowieka ze świata psychicznej patologii do rzeczywistości. Do rzeczywistości chodzącej o kulach z oszpeconą twarzą. Bez narzeczony, bez przyszłości. Działamy w oparciu o wiedzę, w imię nauki.

Mógłby ktoś powiedzieć, że szczególnie drugi przykład jest nie

częstym przypadkiem. Tak, to prawda, jednak dla jednostki ludzkiej nie ma „rzadkich przypadków”, jej świat przeżyć jest światem największym.

W obu przytoczonych przykładach emocjonalna struktura utrudniała lub uniemożliwiała przystosowanie społeczne. Utrudniała zdrowemu psychicznie człowiekowi, uniemożliwiała przez wystąpienie reakcji patologicznej.

W obu przytoczonych przykładach wprowadzenie związków chemicznych do organizmu dawało efekt pozytywny: w pierwszym przykładzie umożliwiała przystosowanie społeczne, w drugim usuwała objawy choroby psychicznej.

W obu przytoczonych przykładach związki farmakologiczne działały szkodliwie z punktu widzenia jednostki. W pierwszym zubożały nadmiernie rozwinięte życie uczuciowe, w drugim powracały do rzeczywistości tragicznej, niosącej tylko cierpienie.

Perspektywy rozwoju psychofarmakologii pozwalają przypuszczać, że możliwość przekształcania psychicznych cech człowieka stanie się rzeczywistością. Jakże będą wskazywania do tego rodzaju zmian i jaka będzie odpowiedzialność za ingerencję w strukturę psychiczną jednostki, która stanowi świat przeżyć, jak do tej pory pozostający na jej własny użytek?

Adam Majczak

## »KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŚKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie. Kolegium Redakcyjne, oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 12 zł, półrocznie 6 zł, kwartalnie 3 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmuje urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatów RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę w Lublinie lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatów, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę za zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 21, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-190024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6, Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamaj: MIECZYSLAW PSUJEK

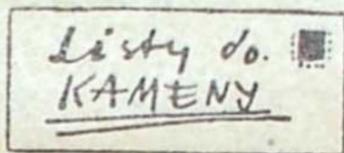
Adres redakcji: 20-916 Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretars redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencje kwytke prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGrafi. Zam. 1844, 23.VII.73, 14.229. G-4.

Kamena str. 11



## Autobusem po pensje?

Zmiany, jakie zaistniały po podziale administracyjnym wsi (utworzenie urzędów gminnych), podobno wiele usprawniły, ulepszyły itp. Skoro tak, dlaczego wielu pracowników podległych Urzędowi Gminnemu w Dębowej Kłodzie musi jeździć po pobory płacę za przejażdżki z własnej kieszeni? Czy nie można by na przykład zatrudnić kasjera, który załatwiałby te sprawy?

Stanisław Sterlus  
Kodeniec pow. parczewski

## Kryteria wydawnicze

Jakie kryteria musi spełniać maszynopis książki, aby wzbudzić zainteresowanie wydawnictwa w mieście wojewódzkim? Zgodnie z reformą krajowych instytucji wydawniczych, podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki, maszynopis taki winien być autoryzowany przez lokalnego pisarza i wiązać się tematycznie z danym terenem. Inaczej mówiąc: jeśli dzieł Kazimierz Braun chciałby opublikować w Lublinie swoje interesujące eseje o Norwidge, należałby spore kłopoty i prawdopodobnie zostałyby odesłany do PWN, albo do... jakiegoś wadnego dyrektora departamentu, który udzieliłby może dyspensy.

Także są skutki rejonizacji wydawnictwa, przeprowadzonej ze stołecznego szczebla — bez liczenia się z interesami lokalnych środowisk twórczych, bez liczenia się z dobrem kultury miast oddalonych od stolicy. Nie wiem, czy Naczelny Zarząd Wydawnictwa zdaje sobie sprawę, że w latach siedemdziesiątych lansuje dewiatowatość model regionalizmu, przy okazji pobawiając wspomnianą wydawnictwa jakiejśkolwiek możliwością aktualizowania środowisk twórczych, uprawiania określonej polityki. A już absurdem traci wprowadzenie zasady rentowności każdej pozycji wydawniczej — takie bowiem zasady mogą obetlażyć do handlu pietruszką, lecz nie na terenie kultury, szczególnie zaś — kultury socjalistycznej. Gdyby zastosować tę regułę we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej, już jutro należałoby zamknąć kilka, a może wszystkie teatry w Polsce: dramatyczne i operowe.

Janusz Galiński  
Chelm Lub.

## Nauczycielska kanikuła

Jestem nauczycielem szkoły podstawowej. Pracuję ciężko, jak każdy nauczyciel. Z ulgą witam wakacje. Tegoroczne jednak przywiatałem z mieszanymi uczuciami, abnożem w przeddzień opuszczenia murów szkolnych otrzymałem do ręki „Dzienniczka” samobowierającej do badania czasu wolnego i zajętego nauczycieli w czasie ferii letnich”. Opracowany przez Instytut Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie, „Dzienniczek” okazał się dużą plachtą o wymiarach 60 na 40 cm, drobno pokrątkowaną i zaopatrzoną w rubryki z takimi hasłami: sen, higiena osobista, pielęgnowanie matych dzieci i osób chorych, inwentaryzacja (i), kore-

petycje, zarobkowa praca fizyczna, udział w czynach społecznych, czytanie książek, uprawianie sportu, leżakowanie i plażowanie, inne. W sumie było tych rubryk 51. Każdą z ich należało wypełniać codziennie (przez dwa miesiące), wpisując ilość czasu, jaki poświęciło się na poszczególne czynności. Podsumowanie tych zapisów powinno dać liczbę 24, jako że doba ma tyle godzin, a nauczyciel przez cały ten czas kontroluje swoje zachowanie, wie co robi etc. Autorzy „Dzienniczka” przepraszają nauczycieli-respondentów za nadużycie uprzejmości, lecz zarzucają pocieszają, że to blaha historia, co najwyżej 10 minut dziennie zabierze wypełnianie ankiety.

Nie kwestionuję potrzeby badań socjologicznych, aczkolwiek potępiałem to sensowność społecznej i naukowej (!) niefajności z nich; nikt mnie nie przekona, że zrobienie doktoratu na temat gry w planszy posiada jakikolwiek uzasadnienie. Ale „Dzienniczka” nie wypełnić, ponieważ dać mam ciągłe samoobserwacji i samokontroli podczas roku szkolnego! W wakacje mam ochotę odprężyć się, a nikt — o grozi! — ponętył się za nic. A takiej rubryki w „Dzienniczku” nie znalazłem.

A. W.

P. S. W krótkiej informacji charakterystycznej cel ankiety napisano: „Zebrane informacje i opracowane w oparciu o nie wnioski posłużą władzom szkolnym i związkowym do dalszych starań o lepszą organizację nauczycielskiego wypoczynku w czasie wakacji. A mnie się wydaje, że posłużą jako materiał na pracy doktor- skiej, która następnie ukryje się pod kuziem bibliotecznym półki.

Uprozczone stanie

Podobno uproszczono procedurę wyjazdów zagranicznych. Można, ale po półtoragodzinnym stanie w kolejce placówki PTK przy ul. Kollataja w Lublinie, w celu zakupu marek NRD, mam co do tego pewne wątpliwości. Tym bardziej, że kolejka składała się z rąpiem z czterech osób! Kiedy zaś dotarłam do kasy i kierując się informacją prasową na temat wysoce żądanych złotych na marki podobno nieograniczoną, poprosiłem o 200 marek, dodając dwa słowa o nowym zarządzeniu, poni urzędniczka powiedziała, że to, co prasa pisała, to nieprawda, kaszka dziennikarska, że ani oni, ani bank lubelski nie na ten temat nie wiedzą. Kto ma rację?

Maria Piwocka  
Lublin

OD REDAKCJI. Według wyjaśnienia Narodowego Banku Polskiego w Lublinie to dalszym ciągu obowiązują 100-markowa norma wymiaru. Informacja prasowa, dopuszczająca możliwość odmienną interpretacji, została na drugi dzień po publikacji ułożona na lamach tej samej gazety.

## Konkurs fotograficzny

Muzeum Ziemi Zamojskiej, Podkomisja Fotografii ZO PTTK w Zamościu, Zamojskie Towarzystwo Fotograficzne organizują V Ogólnopolską Wystawę Fotografii Krajoznawczej „Zabytki”. Ma ona na celu pokazanie najciekawszych zabytków polskiego budownictwa, architektury, wytworów rzemiosła artystycznego itp. oraz zachęcenie do poznawania kraju ojczystego i jego historii. W wystawie mogą brać udział wszyscy fotografujący. Każdy autor może nadać się do 10 prac w formatach od 28x38 cm do 48x58 cm. Termin przyjmowania prac upływa 30 września 1973 r. Szczegółowe warunki konkursu można uzyskać w Zarządzie Oddziału PTTK, pl. Mickiewicza 13 — Ratusz, 22-400 Zamość.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

- PSYCHOLOGIA**  
Stanisław Gerstmann: Psychologia na codzień. KIW 1973 s. 366, zł. 30.—  
Rajmunda Kowalczyk: Psychologia w pracy z ludźmi. Wyd. 2. Instytut Wydawn. CRZZ 1973 s. 179, zł. 18.—  
Kazimierz Pospieszny: Wadliwe postawy społeczne młodzieży. PWN 1973 s. 218, zł. 27.—  
Andrzej Jacewski: Erotyzm dzieci i młodzieży. PWN 1973 s. 223, zł. 30.—
- NAUKA O LITERATURZE**  
Maj słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich. Wydawn. Wiedza Powszechna 1973 s. 497, zł. 58.—  
Pierwszy w naszej literaturze słownik encyklopedyczny zawierający ok. 500 kasek illustrowanych portretami pisarzy. Feliks Lichodziejewski: Twórczość Władysława Broniewskiego. Monografia bibliograficzna. PIW 1973 s. 694, zł. 128.—  
Fundamentalne dzieło do studiów nad bio grafia i twórczością wybitnego poety. Michał Kun: Stanisław Czernik. Życie i twórczość. Bibliografia. Wyd. Pow. i Miejska Biblioteka Publ. w Ostrzeszowie 1972 s. 237, zł. 29.—  
Mieczysław Jastrun: Eseje. PIW 1973 s. 551, zł. 30.— Najobszerniejszy jak dotychczas wybór prac znanego poety i autora licznych studiów historyczno-literackich oraz filozoficznych.
- REPORTAŻ**  
Ela i Andrzej Banachowie: Cztery tygodnie w Japonii. Wydawn. Literackie 1973 s. 379, zł. 78.—  
Jolanta Kilmowicz: Moje Chile. KIW 1973 s. 288, zł. 22.—  
Michał Sulcowski: Kubańskie spotkania. Wydawn. MON 1973 s. 143, zł. 18.—  
Jacek Woźniakowski: Zapiski kanadyjskie. Wydawn. Iskry 1973 s. 311, zł. 18.—

falsetem

# Morze bogaci

**N**O i piasek w tej zadeszczonych Ustce. Moje prognozy sprzed dwóch tygodni spełniły się co do loty. Jest właśnie koniec lipca. Za oknem chmura chmurę postania, rąb po rąb spadnie olejny deszcz, ludziska zmiatają z plaży i kryją się pod drzewami. Na czarnej tabliczce kredą wypisany aktualny stan: temperatura wody — 16 stopni; temperatura powietrza — 17 stopni. Niech mi ktoś teraz powie, że sami snobi jadą latem do Bułgarii...

A jednak nasz naród, wywołany na Somosierrach, śmiało

wlazi w chłodną ton, ba — pcha się na głębie, nurza się w wysokich falach, które daremnie stara się zagłuszyć ryk megafonów, ostrzegających przed zbytnią brawurą.

Ustka, mająca stale ok. 10 tysięcy mieszkańców, peczęnie latem w arwach. 30-40 tysięcy wczasowiczów z Polski, NRD, Czechosłowacji, Szwecji okupuje plaże, restauracje, kawiarnie, kino i... (Już tylko Polacy) okienko pocztowe PKO. W niedzielę, gdy okienko było otwarte przez dwie godziny, ustawiła się przed nim kolejka, którą tworzyli momentami ponad 30 (słownie: pięćdziesiąt) klientów. Dłuzszą kolejkę widziałem tylko w kinie, gdzie szedł właśnie amerykański western. I nawet nikt się nie denerwował. Ostatecznie nie ma się do czego i po co śpieszyć. Nikomu też nie przychodzi do głowy, by domagać się otwarcia drugiego okienka. Kłopoty kadrowe na Wybrzeżu są dobrze znane. W domach wczasowiczy studentki zabawiają się kielniewaniem i sprzątaniem, muszą jednak pilnie bacznie na zachowanie pensjonariuszy, którzy przed odjazdem biorą sobie na pamiątkę sztucę. A za te noże, widelce czy łyżeczki kelnerki sezonowe są osobiście materialnie odpowiedzialne.

Słupskie Zakłady Gastronomiczne, którym podlegała restauracja w Ustce, niechętnie przygotowały się do lata. Przed wszystkim urzędnicy wielo smażalni ryb. Słupskie czy fladra, a nawet halibut smakują tu jak najlepsze delikatności. Autentycznym delikatem jest jednak losos w cenie 400 złotych za kilogram. „Węgorzy brak — wyjaśnia sprzedawca — bo bierze teraz losos”. Rzeczywiście bierze. Z następnym kleszeni, jeśli ktoś, oczywiście, da się skusić.

Wizytówką tutejszej gastronomii jest jednak „Karczmą pod Kluką” w samym Słupsku, w której roi się od gości, głównie zagranicznych. Gdyby ode mnie zależało ściągnąłbym tu raczej wydział dyrektorski i kierowników zakładów zbiorowego żywienia z całej PRL. Niechby skosztowali polewki smolczyńskiej, kaszubskiej, kminkowej czy... orzechowej, niechby podelektowali się schabem po staropolsku... A swoją drogą, jeśli cudzoziemcy ukształtują sobie zdanie o polskiej gastronomii na podstawie „Karczmy pod Kluką”, biedny będzie nawet szef kuchni w „Powszechnej” czy w „Victorii”...

„Morze bogaci” — zatytułowałem ów tekst. Kogo? A chciał-

by co niektórych sprytniejszych osobników serwujących nam smażone ryby. Gwałt rybki podaje się na plastikowej tacy, która kosztuje złotówkę. Taca formalnie służy do jednorazowego użytku. Tak, ale Polacy to naród oszczędny. Sprzedawca smażonych rybek tacy pucuje wielokrotnie. Złotówka do złotówki — uzbiera się stawa.

Tacy w sumie mogą stanowić jednak nie tak znow wielki interes, ale na uszkieckiej promenadzie oblegane są przeróżne prywatne kioski, w których handluje się strasznie brzydotkami.

Oto odbity w białym płótnie czarna farbą portretek znanego śpiewaka. Drobniarz: 15 złotych. Oto miseczek z gumką do puszczenia baniek mydlanych. Oto spinki z wtopionym w masie parafekiem. Oto „niewidzialna ręka” w charakterze kosmicznej broszki. Trwa codziennie ten odpust szkaradziństwa, który jednym opróżnia, a drugim napełnia kieszenie.

Za oknem przejaśnia się nieco, jest więc okazja, żeby trochę pojedł organizm. Be to teraz stopni? Piętnaście. Kochana Redakcjo, przyslij dodatkowy sweter...

MAJ

minuta myślenia

# Pod Psia Gwiazdą

**J**ASNIEJSZYM światłem świeci Syriusz w gwiazdozbiórze Wielkiego Psa. Kanikula.

Z pewnością niewielu wie, że wśród utworów powstałych na lubelskim bruku istnieje jeden o takim tytule: dramat Zygmunta Kalużyńskiego. O ile się nie mylę — nigdzie nie wystawiony. Nie znaczy to jednak, że nie zasługuje na uwagę. Kto chce przypomnieć sobie kulturalną, psychologiczną, intelektualną atmosferę Lublina lat trzydziestych — natychmiast do „Kanikuly”. Co jest lekturą tym ciekawszą, że pod przybranym postacią scenicznych występów tam całkiem autentycznie osoby z otoczenia autora.

A problemy? Walka dobra ze złem, miłość, poszukiwanie praw-

dy, dążność do poezji. Każdemu z tych określeń można dać cudzoziemski, tak są „naiwne” i tak odległe od dzisiejszej „rzeczywistości”. Ale krótkim metrażem komparatystyki dysponuje ktoś, kto jął się tego zajęcia. Musiałby nie nie wiedzieć o tzw. duchu epoki. Wówczas był inny. Kto dziś z młodych ludzi włoży tyle pracy dla zostawienia dokumentu swego czasu?

Kanikula — okres to dla mnie nadzwyczaj interesujący. Przed wszystkim doznają zmniejszenia wszelkie przejawienia demograficzne. Krócej stoję w kolejkach, mniej tłoczno w trolejbusie, mniej muszę się przeciskać na trotuarze, mniej kół na jezdni. A jeśli mam ochotę pójść w nieuczestniczącą uliczkę, spotykam się z refleksją tej jeszcze atmosfery, jaka została — metaforycznie — uwieczniona na kartach „Kanikuly”. Bliziej niż stąd od osobliwego wizjonerstwa Brunona Schulza, do „Zaodróżni i medycyny” Michała Choromańskiego, który niedawno został przypomniany przez Henryka Worcella w „Odrze”. Z tej powieści wyparowało mi wszystko. Zostało tylko wspomnienie gorącego wiatru targającego rozwichrzoną brodę doktora Widmara. Trzeba będzie przeczytać ponownie. Z pewnością przyniesie to wielkiżyty tekst niż niejedna lektura odczytana po raz pierwszy.

Witajże więc sezonie ogórkowy również z tej przyczyny, że przy-

nosisz odrobienie zaległości w czytaniu książek. Mniej ludzi, więcej kontaktu z kulturą. Jak to dobrze, że istnieje jeziora, leśniczówki, domy wczasowe. Jeśli argumentami nie można się pozbyć dokuczliwości niektórych chorych na megalomanie osobników, skuszą ich przynajmniej obietnice wygody na łonie natury i przez krótki czas jest trochę wytchnienia. Krągły rok z nimi byłby nie do zniesienia. Czytam więc książki (a propos: dlaczego Conrad jest wydawany w tak skromnej szacie zewnętrznej) i zastanawiam się nad osobliwością środowiska, w którym łatwiej o persyliad, niż rzeczową ocenę, autodekorację, niż pracę. Gdybyż to tylko w okresie kanikuly, która podobno rozleniwia umysł i wpływa na przytępienie woli. Kiedy, jak się rzekło, na odwrót: właśnie wtedy jest trochę spokoju, kiedy niektórzy z luminary myśli udają się po korzyści pływając z FWP.

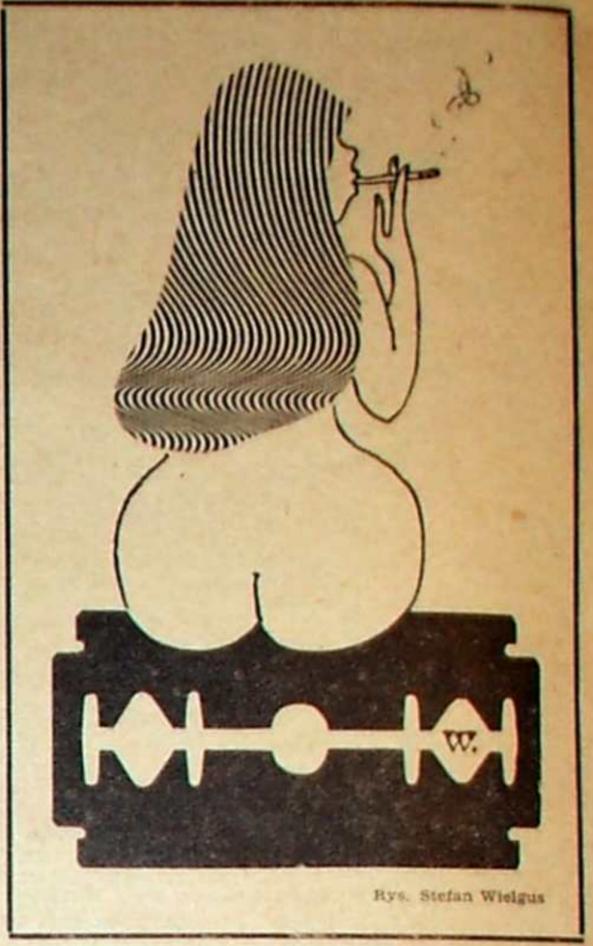
A więc ten antrakty roku ma dla mnie znaczną atrakcyjność. Wakacje, wakacje od wszelkich niedorzecznych „co słychać” i „jak tam”, natomiast miejsce do zapewnienia książką, refleksją, spacerem. Gdyby istniały złote rybki spełniające życzenia fortunnych rybaków, może zczytyłbym sobie zatrzymania kalendarza na sierpień? W każdym razie o tym miesiacu Galczyński pisał najgo-

rażę i z największym upodobaniem.

Bo to już ostatni akord lata. Co jest szczególnie ważne w tym roku, kiedy lato tak późno się zaczęło. Jeszcze nie jesień. Jeszcze trochę słońca. A mimo wszelkich stereotypów o „złotej polskiej jesieni”, ja przynajmniej obstaruję przy „banalnym” cieple. Wcale nie pasjonuje mnie melancholia, poza na filozoficzność, antypowieść. Także z brody już wyrostem.

Wróćmy jednak do „Kanikuly” Kalużyńskiego. Jest to dramat napisany w niebanalnej konwencji, poza tym umoliwiający wielce inwencji ze strony reżysera, czy więc nie byłoby wskazane zastanowić się nad możliwością jego scenicznego realizacji na lubelskich deskach? Posiada dowcip, wiele scen zbiorowych o charakterze baletowym, warkocze dialogu, oryginalnie postawione sylwetki bohaterów. Przypuszczalnie byłaby niemała frajda lubelski autor lubelskie osoby. Mimo trzydziestu lat (tak, powstał za okupacji) nie nie wyparowało z jego aktualności, można nawet powiedzieć, że teraz doznało do spotkania tego stylu z wymaganiami czasu. I właśnie w okresie kanikuly jest sposobność o tym pomyśleć. Albowiem jestem lublinianinem i nie co lubelskie...

Ijan



Rys. Stefan Wielgus

# Noty i notki

W okresie dwóch dni wolnych od pracy (21 i 22 lipca) w Lublinie znowu nie było najlepiej z zaopatrzeniem, w niektórych dzielnicach brakowało nawet chleba. Niestety, nie nie wiadomo o konsekwencjach tego skandalicznego stanu rzeczy. Tymczasem w Warszawie dosłownie z tego samego powodu Prezydent Stolecznej Rady Narodowej odwołano ze stanowiska dwóch dyrektorów naczelnych i jednego zastępcę przedsiębiorstwa MIB, ponadto WSS „Spolem” już we własnym zakresie ukarał ostrzeżeniami i upomnieniami 18 osób na kierowniczych stanowiskach. Co cała prasa podała do wiadomości.

W naszych sklepach niby pełno towarów, ale gdy przyjdzie do wybrania odpowiedniego rozmiaru, często okazuje się, że właśnie tego nie ma. Dwie osoby z mojej rodziny przez półtora miesiąca szukały piżamy męskiej na wzrost 180 cm i sylwetkę taką sobie, ani grubą, ani chudą. No i znalazły — jedną!

Miałem kiedyś książeczkę PKO premiowaną pieniężnie. Ale ponieważ przez dwa lata nie nie wygrałem, podjąłem planierkę, zastawiając regulaminowe 5 zł. I oto teraz, po następnym dwóch tygodniach, czyli dwa złote, PKO zawiadomiło, że wygrałem 50 proc. wygrałem, czyli dwa złote. Nie mogę ich jednak podjąć, bo muszę być wpisane tylko do tej właśnie książeczki, a nie do innej, a ja właśnie gdzieś zagubiłem. W ten sposób nie z wygraną, a swoją drogą, gdzie podziłało się 50 groszy, które jeszcze nie się należą do dokładniejszego obliczenia 50 proc. od 5 zł!

Nie rozumiem, w jaki sposób warsztaty TOS-u przy ul. Wojciechowskiej wykonują plany. Już po zatwierdzeniu formalności wjechałem na stanowisko badawcze (chodziło o roczny przegląd rejestracyjny) o godzinie 12 minut 32. Ale do badania nikt się nie zabrał — pracownicy zmieniali się o godzinie 14 i jak stwierdziłem „nie opłaca im się zaczynać”. Następni zjawili się o godzinie 14 minut 30, zresztą dopiero po mojej interwencji. To się nazywa dbanie o wydajność pracy.

„Malżeństwo czyni cuda pod warunkiem, że uda” — wierszkiotki dumnie „Walka Młodych” na pierwszej stronie nr 30 pod fotografią, przedstawiającą młode małżeństwo z dwuletnim (na oko) bobasem. O ile ja wiem, to „uczynienie” tego bobasa nie ma nic wspólnego z cudem. No, ale młodzi, mimo że walczą, mogą o tym nie wiedzieć.

O hiszpańskich corridach przez wiele lat pisało w naszej prasie z obrzydzeniem, współczując raczej bykom, a nie walczącym z nimi ludzimi. Gdy jednak okazało się, że Picasso był wielkim zwolennikiem corridy, zmienił się ton i w naszej prasie. Emanacja postępuje teraz dalej. Jak się dowiedziałem z „Expressu Wiczożnego” (nr 173), przedsiębiorstwo państwowe „Jubiler”, przejmując sklepy pamiątkarskie, zamówiło w Hiszpanii „spora ilość portfeli ze skóry byków, usmiernianych podczas corridy”. W ten sposób chociaż pośrednio będziemy jednak popierać walki byków. Tylko czy te „bycze” portfele nie będą za twarde? Chyba że do przechowywania twardych...

„Stolica ma 4 tys. taksówek, a na jednego statystycznego mieszkańca przypada ich 28, tj. przeszło dwa razy więcej niż w Wiedniu czy Budapeszcie, a mimo to trudno złapać taksówkę” (nr kiedyś się człowiekowi spieszy” — domiół „Kurier Polski” (nr 170). Co na to GUS, który od lat uparcie twierdzi, że Warszawa ma ponad milion mieszkańców, a nie — jak wypadałoby z obliczeń — „Kurier Polski” — zaledwie 143 (stu czterdziestu pięciu)?

bratem i najdroższym człowiekiem pod słońcem. Nie chciałem się wtedy urazić. W styczniu może się jednak wszystko zdarzyć...

Po południu Mariusz zadzwonił do Barbary. Spotkali się w „Barze”.

— Basiu... — Mariusz nie wiedział, jak zacząć tę rozmowę... Wdzięk, Basiu, rozmawiałem z Niną... Ona bardzo prosila, abym wycofał pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Te, które pożyczylem temu ojcu...

— Zdziwiłabyś, jak się zrobił wielki interes! Gdzie dostaniesz taki procent?

— Chęć wycofać pożyczkę Ninę. To nazwę wspólną pieniądze, ja postąpiłem zbyt poohopnie. Najpierw poinformowałem jej rodziców.

— Basiu spoważniała.

— Jak chcesz. Porozmawiam dzisiaj z ojcem. Zresztą pojedziemy zaraz do mnie. Najlepiej będzie, gdy ty poruszysz tę sprawę, ja nie chcę się wtrącać do interesów. Nie mam głowy do tego. A jak będzie z naszą Bulgarią? Napiętniłeś się?

— Basiu, naprawdę nie mogę rzucić posady. Wiesz, obiecałem nie porzucić. Dostałem pochwałę, że tak dobrze sprawuję się w Katowicach.

— Oj ty, mój zaprzeczona! Zrobisz, jak uważasz. Ale pamiętaj, że bardzo będzie mi ciebie brakować nad Morzem Czarnym!

Wypuść kawał. Mariusz zapłacił. Poszli w kierunku domu Barbary.

Na progu powitała ich zapłakana matka Basti.

— Córeczko, cóżś kochana! Stało się coś strasz-

nego, coś bardzo straszego... Przyszła miusia i zabrała tatusia.

Basia i Mariusz stali w drzwiach jak skamieniałi. Mariusz oprzytomiał pierwszy.

— Kiedy to się stało?

— Dostawione przed chwilą. Jeszcze jest to domu balagan, bo mieli nakaz przeprowadzenia remontu. Nie, dostawione nie nie rozleźli. Ale to jego wina! Mówiłam mu, że to interesy nie są, wcale takie czyste... Spójrzła na Mariusza z zornieniem i cisnąła mu w twarz.

— Wiesz, że ja mam, że ja mam, że ja mam... On był bardzo ostrożny...

Weszli do pokoju Barbary i usiedli na tapczanie. Basia zaczęła wycierać chusteczką łzy.

— No to koniec z wyjazdem do Bułgarii. A tak się cieszyłam!

— Basiu, nie mów o Bułgarii. Tu gdzie o rzec do daleko poszedł... A pan, panie Mariuszu, niech się nie martwi o pieniądze. Wszystko spłacił się do grosza. Nawet, gdybym sama została z Basią, ja wiem, czym pan jest dla niej. Nie pozwolę, żebyś skrzywdził, nie pozwolę.

Mariusz nie wiedział, co powiedzieć. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania.

— Wie pani co? Najlepiej będzie, jak ja sam pójdę na milicję.

— Po co? Co pan chce zrobić? Wszystko może pan tylko popuścić! Pani Mariuszu, tego nie spodziobałam się po panu. Ja do pana z sercem, a pan...

(cda)

# Odpowiedzi redakcji

**S. K. Jelcz.** Dwie strony prozy to bardzo mało, by zorientować się o jej jakości. Mimo to już w tym rozmiarze tekstu można zaobserwować pewną skłonność do uproszczeń i do szkodliwego artystycznego pośpiechu. Na marginesie: nie wydaje się nam, by dziesięciolotówki i pudła skrzypieć nie można było wyjąć inaczej, niż tylko rozbijając instrument.

**E. L. Lublin.** To są początki. W dodatku — widać wyraźnie brak czytania. Mimo to nie przekreślilibyśmy całkowicie tych prób. Świadczą o posiadaniu przez młodą autorkę własnego świata poetyckiego. Warto próbować dalej. Niewykłuzone, że z czasem przyjdą liczące się rezultaty.

**J. A. K. Wieś.** W pańskim pytaniu „czy warto pisać” zabrzmiała nutka melancholii. Nieuzasadnionej. Wiersze są jeszcze niedojrzałe, ale posiadają pewną cechę, która każe nie rezygnować: świeżość, oryginalność; są dane, że z tego rozwinie się ciekawe piśmarstwo.

**S. J. Warszawa.** Nie na każdy nadesłany wiersz odpowiadamy. Nie zwracamy też maszynopisów nie zamówionych. Uważamy, że autor przysyłając tekst do nas nie pozbysza się jedynego egzemplarza, nie możemy więc administracji redakcyjnej rozbudować nadmiar potrzeb.

**A. Z. Lublin.** Niestety, nie wystarczy mieć marzenia, kochać przyrodę, tęsknić do miłości itp., by z tego powstała poezja. Potrzeba jeszcze zdobyć się na oryginalny wyraz tych stanów uczuciowych. W Pani utworach natomiast znaleźć można wiele określeń zdawkowych, nie ambitnych. Jeśli pisze to Pani niejako do prywatnego sztabu, nie ma potrzeby niczego zmieniać, a i z tego zdaje się Pani mieć satysfakcję. Jeśli jednak ma Pani zamiar kiedyś pomyśleć o druku, trzeba przedtem zawrzeć bliższą znajomość z czymś, co nazywamy rzemiosłem poetyckim.

Kazimierz Chyła

# Refleksje

**Dno odwrócone do góry mieni się być wierzchołkiem.**

**Zalozono mu kaftan niebezpieczeństwa. Był zbyt niebezpieczny dla zła, które go otaczało.**

Waleria Sulima

**smak miłości i łez**

PROSTE RESTAURACJA

Nina zwierza się swemu bratu, Mariuszwowi. Ten, zdumiony, dowiadywa się, że Robert zaproponował jego siostrze małżeństwo. Akcja naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante”, toczy się dalej.

(11)

— Tak, Nina... — Mariusz cedził słowa — masz rację, w tym wypadku nie ma mądrzych. Każdy musi sam podjąć decyzję i za nią później ponieść odpowiedzialność. Ja też mam swoje problemy...

**Kij ma dwa końce, ale oba objają nieraz te same plecy.**

**Szkoda życia, gdy chce się je tylko przeżyć.**

**Nie dość, że podstawił bliźniemu nogę, ale jeszcze usiłował go przekonać, że sam potknął się o nią.**

**Kto pogłaszcz lwa — nie lwa, lecz sobie sprawia przyjemność.**